Wpisano do Kontrolki periodyków
Miejskiej wypożyczalni książek
dla dorosłych
do 20-V 19 47

W numerze: Głosy krytyki o książce Jerzego Borejszy „Hiszpania"

Cena 15 zł. 12 stron

KUŹNICA

Rok III Łódź, 20 maja 1947 r. Nr 20 (89)

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

9.V.1945 — 9.V.1947

Grupa oficerów i żołnierzy I Armii Wojska Polskiego przed Bramą Brandenburską w Berlinie w czasie walk o miasto. (maj 1945).

8 maja 1945 r. przedstawiciel niemieckiego naczelnego dowództwa feldmarszałek Keitel, podpisał w Berlinie, wobec przedstawicieli Sprzymierzonych, akt bezwarunkowej kapitulacji Niemiec, który zakończył II wojnę światową.

„Są chwile, gdy sama demokracja winna stanąć na torach rewolucji, by nie walczyć przeciw swej większości, ale przeciw mniejszości, która zagraża życiu demokracji"

Manuel Azania

TREŚĆ NUMERU:

STANISŁAW EHRLICH — **ELEMENTY STABILIZACJI —**
MIECZYSŁAW SIEWIERSKI — **SYLWETKA PSYCHOLOGICZNA RUDOLFA HOESSA**
ALEKSANDER HERTZ — **O ENERGII ATOMOWEJ I PARU INNYCH SPRAWACH (III)**
RYSZARD MATUSZEWSKI — **KRYTYCY CZY AKUSZERKI**
EWA KORZENIEWSKA — **Z ZAGADNIEŃ REALIZMU**
ZYGMUNT RADEK — **PIEŚNI DRÓŻNIKA**
TADEUSZ BOROWSKI — **POŻEGNANIE Z MARIĄ** (DOK.)
STEFAN OTWINOWSKI — **TRZY RAZY ŁZY**
BOLESŁAW DUDZIŃSKI — **LEKCJA JESZCZE TRWA**
JAN REYCHMAN — **COSAS DE ESPANA**
JULIUSZ ŻUŁAWSKI — **„MIASTO W DOLINIE" PRIESTLEY'A W TEATRZE KAMERALNYM**
EUGENIUSZ CĘKALSKI — **DROGI NOWEGO FILMU**
JULIA HARTWIG — **J. R. BLOCH — ŻYWOT PRZYKŁADNY**
K. B. — **ZAGRANICĄ O LITERATURZE POLSKIEJ**
PRZEGLĄD PRASY
NOTY

STANISŁAW EHRLICH

ELEMENTY STABILIZACJI

OKRES wielkiego sporu o fundamenty ustrojowe państwa mamy za sobą. Przed nami stoi zadanie wykończenia poszczególnych kondygnacyj struktury państwowej. Toczyć się będą jeszcze spory o zagadnienia kapitalne, ale spór zasadniczy, podstawowy jest rozstrzygnięty nieodwołalnie. Spór ten z natury rzeczy musiał siać niepokój i ferment, wyciskać piętna tymczasowości na poczynaniach ludzi, którzy nie dzielili przekonań Obozu Reformy.

W r. 1947 zamknięty został pierwszy okres Polski powojennej. Zatwierdzone i w formę aktów konstytucyjnych obleczone zostały przemiany dokonane w strukturze społecznej, gospodarczej i politycznej narodu. Podsumujmy te wielkie przemiany.

Wiadomo, że opozycja polityczna usiłowała wielki spór o nowy ustrój społeczno-gospodarczy sprowadzić do sporu wyłącznie konstytucyjnego, nieomal do sporu o wykładnię przepisów Konstytucji Marcowej. Sugerowano, że model ustrojowy Polski mieści się w ramach Konstytucji Marcowej, że odejście od jej przepisów jest jaskrawym podważeniem praworządności, które w dodatku codzienna praktyka administracyjna jeszcze bardziej zaostrza. Dziś najbardziej uparte i zaślepione pieniactwo musi się zgodzić ze stanem prawnym, jaki uświęcają nowe ustawy konstytucyjne z 4.II.1947 r. o wyborze Prezydenta Rzeczypospolitej i z 19.II.1947 r. o ustroju i zakresie działania najwyższych organów Rzeczypospolitej Polskiej. W istocie jednak spór taki, gdyby opozycja nie była pozbawiona realizmu politycznego i elementarnej znajomości zasad prawa konstytucyjnego nie powinien był wyniknąć. W dążeniu do podważenia podstawy, na której opierała się legalna działalność rządu nie chciano dostrzec właściwego znaczenia Manifestu Lipcowego. W akcie tym expressis verbis powiedziano: **„Podstawowe założenia Konstytucji z 17 marca 1921 r.** obowiązywać będą aż do zwołania wybranego w głosowaniu powszechnym, bezpośrednim, równym, tajnym i stosunkowym Sejmu Ustawodawczego, który uchwali, jako wyraziciel woli narodu, nową Konstytucję".

Manifest Lipcowy aktem konstytucyjnym nie jest, ale nie powinno było budzić wątpliwości w obliczu rewolucyjnych warunków w jakich objął władzę Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego, że Manifest Lipcowy jest w każdym razie **wiążącą wskazówką interpretacyjną.** Akty ustawodawcze, jakie następnie weszły w życie, a które dotyczyły reformy rolnej i nacjonalizacji przemysłu nie mieściły się żadną miarą w wąskich szrankach art. 99 Konstytucji Marcowej. Tak samo nie mieściły się w ramach Konstytucji Marcowej przepisy o radach narodowych, czy przejście na tory gospodarki planowej. Oznaczało to coś więcej, niż zmianę konstytucji. Założone zostały fundamenty nowego ustroju społeczno-gospodarczego, budowanego stosownie do wytycznych Manifestu Lipcowego. Było oczywiste, że nowa treść społeczno-gospodarcza rozsadza tkankę dawnych norm konstytucyjnych. I dlatego mowa być mogła tylko o „podstawowych założeniach konstytucji".

Jeszcze łatwiej było ocenić nowy porządek prawny, kiedy głosowanie ludowe, przeprowadzone w dn. 30.VI 1946 r. zatwierdziło dokonane refomy społeczne i ustrojowe. Z tego punktu widzenia próby nawrotu do pełnego brzmienia Konstytucji Marcowej, z jakimi wystąpili w czasie debat konstytucyjnych posłowie z PSL, były całkowicie bezprzedmiotowe. Tak samo jak i opinie wypowiadane ex cathaedra przez trabantów tej partii. Prof. Kasznica w podręczniku polskiego prawa administracyjnego, prawie nie dostrzega rad narodowych poświęcając im zaledwie kilkowierszową wzmiankę. Prof. Mycielski w podręczniku polskiego prawa politycznego twierdził apodyktycznie, że tekst Konstytucji Marcowej „obowiązuje w całej swej rozciągłości i to w sensie literalnym".

Dziś spór jest rozstrzygnięty w sposób ostateczny. Art. 1 Konstytucji z 19.II.1947 wyraźnie powołuje tylko „podstawowe założenia Konstytucji z 17.III.1921 r.", a ponadto „zasady Manifestu Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego z dn. 22.VII. 1944 r., zasady ustawodawstwa o radach narodowych oraz reformy społeczne i ustrojowe, potwierdzone przez Naród w głosowaniu ludowym z dn. 30.VI.1946 r.".

W ten sposób scementowane zostały podwaliny nowego ustroju społeczno-gospodarczego, ustroju opartego o system planowego gospodarowania. Nowa ustawa zasadnicza, jak widać z zacytowanego artykułu sankcjonuje wprawdzie dokonane przemiany, ale jednocześnie dba o ciągłość prawną. Nie zrywa — rzecz znamienna — z tradycyjnym podziałem władz, ale wzmacnia pozycję sejmu przez odrzucenie sanacyjnej noweli z 2.VIII.1926 r., z drugiej zaś strony nowy organ władzy wykonawczej, którego nie znała Konstytucja Marcowa: Rada Państwa, w skład której wchodzą prezydent, jako przewodniczący, marszałek i wicemarszałek sejmu, oraz prezes Najwyższej Izby Kontroli. Na czoło szeroko zakreślonych uprawnień Rady Państwa wysuwa się nadzór zwierzchni nad terenowymi radami narodowymi. W tym zakresie Rada Państwa jest kontynuatorką Krajowej Rady Narodowej. Nową instytucją jest również Rada Gabinetowa, którą zwołuje prezes rady ministrów na życzenie prezydenta. Stanowi ją Rada Ministrów pod przewodnictwem Prezydenta Rzeczypospolitej. Z tego widać jak wielkim przeobrażeniom uległa struktura władzy wykonawczej. Prezydent nie jest ograniczony do funkcyj reprezentacyjnych. Jako najwyższy zwierzchnik władzy wykonawczej występuje albo samodzielnie, albo jako przewodniczący Rady Państwa, albo jako przewodniczący Rady Gabinetowej.

Nowa konstytucja zapowiada wydanie ustaw, które mają kapitalne znaczenie dla dalszej stabilizacji stosunków i wzrostu poczucia pewności prawnej. W myśl art. 25 specjalna ustawa określa „sposób przejęcia przez sądownictwo powszechne całego wymiaru sprawiedliwości". Oznacza to, że sądy karne oddadzą orzecznictwo w sprawach politycznych sądom powszechnym. Do tych sądów przejdzie z biegiem czasu również orzecznictwo w sprawach przestępstw gospodarczych, oraz w sprawach mieszkaniowych, które obecnie należą do kompetencji komisji specjalnych i komisji mieszkaniowych. To samo dotyczy spraw kolejowych. Oczywiście, że w parze z tem będzie musiała iść podporządkowanie milicji obywatelskiej prokuraturze, a więziennictwa Ministerstwu Sprawiedliwości (por. w tej materii artykuł wicemin. Leona Chajna, „Na progu Wielkiej Reformy", Dem. Przegl. Prawn., nr. 4 s. 8-9). Art. 26 głosi: „Osobna ustawa ustali tryb i zakres działania organów właściwych do orzekania o legalności aktów administracyjnych w zakresie administracji publicznej".

Otwartą zatem jest sprawa w jaki sposób będzie zorganizowana kontrola legalności aktów administracyjnych, czy będą to organa sądowe (zwykłe lub sądy admin. z NTA na czele), czy też inne, — ale przesądzona jest sama zasada. Wprowadzenie jak najrychlejsze w życie takiej kontroli jest niezbędną przesłanką dalszego umocnienia praworządności.

Trzeba jednak z naciskiem podkreślić, że tym aktem ustawodawczym, który wywarł wpływ największy i bezpośredni na wytworzenie równowagi politycznej była ustawa o amnestii z 22.II.1947 r. 19 amnestyj przedwrześniowych miało głównie na celu odciążenie przeludnionych więzień. Amnestie te szeroko otwierały bramy więzień dla pospolitych przestępców, ale niechętnie zwalniały więźniów politycznych, zwłaszcza jeżeli nimi byli komuniści. Inaczej ustawa amnestyjna z 22.II.1947 r., która „puszcza w niepamięć i przebacza" przede wszystkim przestępstwa polityczne. Kilkadziesiąt tysięcy ludzi wypuszczonych z więzień i ujawnionych oznacza nowy zastęp obywateli, pogodzonych z odrodzonym państwem.

Trafnie powiada Leon Bourgeois: „Społeczeństwo nie może żyć w spokoju i bezpieczeństwie, jeżeli ludzi, którzy je tworzą, nie jednoczy dobrowolna dyscyplina, płynąca z jednej koncepcji życia i nie łączy jeden cel i obowiązek".

Stanisław Ehrlich

MIECZYSŁAW SIEWIERSKI

Sylwetka psychologiczna Rudolfa Hoessa

(Wyjątki z mowy oskarżycielskiej)

Jeżeli właściwym oskarżonym w procesie Rudolfa Hoessa jest sam system niemieckich obozów koncentracyjnych i obozów zagłady, nie pomniejsza to w niczym roli, jaką w tworzeniu tego systemu, a potem wprowadzeniu go w życie w Oświęcimiu odegrała osoba Rudolfa Hoessa.

Był niejako predysponowany do roli kata Oświęcimia. Członek NSDAP już od roku 1922, karany za mord kapturowy 10-letnim więzieniem, w roku 1934 rozpoczął swą ponad 10 lat trwającą służbę w załogach obozów koncentracyjnych Dachau, Sachsenhausen wreszcie Oświęcimia. Był mężem szczególnego zaufania Himmlera.

Mimo, to widząc go dziś na ławie pod tym wyjątkowym zgoła oskarżeniem o zabójstwo milionów ludzi, powiedzieć muszę, że Hoess nie był wśród społeczności hitlerowskiej zjawiskiem wyjątkowym. W jego bowiem roli mógł się znaleźć każdy niemal Niemiec-hitlerowiec. Każdy z nich był psychicznie zdolny do odegrania w razie potrzeby równie zbrodniczej roli. Nietylko on, Hoess i najwięksi kaci Oświęcimia: Palitsch, Grabner, Kirschner czy Moll.

Tkwią bowiem głęboko w psychice niemieckiej dwa podstawowe czynniki: zachłanność, która rodzi u całości narodu imperializm, a u jednostek żądzę zaboru i niszczenia, oraz pycha połączona z nienawiścią, która nietylko wytwarza mit o Herrenvolku, ale nadto miast łagodzącej wszystko miłości bliźniego stwarza pogardę dla obcych i bezwzględność postępowania w stosunku do nich.

Nic zatem dziwnego, że najistotniejszą cechą charakteru Niemców jest okrucieństwo towarzyszące ich poczynaniom. Ponad nim zaś stoi nieograniczone żadnemi kryteriami posłuszeństwo (Cadavergehorsam), które stwarza z człowieka automat do wykonywania zbrodni. Czynniki te zdecydowały o losach dziejowych narodu niemieckiego. Zdecydowały również o cierpieniach innych narodów, zwłaszcza sąsiadujących z nimi i bezustannie przez nich nękanych. Ale dopiero hitleryzm wyzwolił w tak szerokim zakresie te przyrodzone złe cechy narodu niemieckiego i podniósł je do rzędu cnót powszechnie uznanych, szanowanych i kultywowanych.

Dlatego istotą systemu niemieckich obozów koncentracyjnych, a więc i systemu panującego w Oświęcimiu, było zorganizowane okrucieństwo. Jest przecież do pomyślenia nawet wówczas, gdy stawia się jako cel zabijanie ludzi, dokonywanie wszystkich tych operacji w sposób oszczędzający ofiarom zbytecznych wstrząsów i cierpień. W Oświęcimiu rozmyślnie cierpienia te wzmagano. Czyniły to nie tylko jednostki. Czyniła to cała załoga SS, ba, wszyscy niemal więźniowie Niemcy i to niezależnie od swego poprzedniego nastawienia. Najwidoczniej okrucieństwo odpowiadało potrzebom psychiki każdego Niemca. Stał się więc Oświęcim pomnikiem złej sławy zorganizowanego okrucieństwa niemieckiego.

***

Gdy przepadła realna siła hitleryzmu, gdy sczezła moc organizacji hitlerowskiej, zagrażająca całemu światu, to znikł i dawny Hoess, władca Oświęcimia, rzeczywisty, a nie w przenośni pan życia i śmierci 2 i pół miliona ludzi, zaprowadzonych przez niego do komór gazowych oraz pół miliona ludzi, skazanych na stopniowe męki wymierania w życiu obozowym, postrach Oświęcimia — nawet dla jego załogi, przywódca SS-mańskich zbrodniarzy, na których spadło dzieło wykonania zamiarów narodowego socjalizmu w stosunku do przedstawicieli ludów zamkniętych za drutami Oświęcimia.

Dziś stoi przed trybunałem Hoess pokonany — pozbawiony swojego królestwa — obezwładniony. Dziś nie może już nikogo ani męczyć, ani mordować.

Dziś odpowiada przed Trybunałem Narodowym za wszystko, czego dokonał. Poniesie karę i za tych, których uśmiercił, i za tych, w stosunku do których wykonał wszystko, żeby doprowadzić do ich śmierci, ale którzy szczęśliwym zrządzeniem Opatrzności mogli tu stanąć przed Trybunałem i mogli odtworzyć męki Oświęcimia.

W głębi swej niemieckiej duszy Hoess zapewne się dziwi, dlaczego w stosunku do niego nie stosujemy tych samych środków, jakie on stosował w Oświęcimiu. Dlaczego nie wystawiamy go nie odzianego na deszcz, wiatr, czy mróz, nie utrzymujemy go w stanie ustawicznego, a niezaspokojonego, głodu i pragnienia.

Dlaczego nie narażamy go na męki długotrwałych apeli, na męczarnie fizyczne zwane urągliwe „sportem", nie obarczamy go pracą ponad siły i ludzką wytrzymałość, nie czynimy na nim żadnych eksperymentów lekarskich, nie łamiemy mu kości, nie oddajemy na pastwę tresowanym psom, nie każemy mu konać w powolnej męce.

Dlaczego mamy cierpliwość tu, w jego obecności — nic mu złego nie czyniąc — wysłuchiwać tych wszystkich zdarzeń, które tak jaskrawo i tak wyraziście, w filmowym niemal tempie, były przedstawione na procesie, a co do których świat cywilizowany sądził, że dawno już odeszły w niepamięć, w miarę postępu kulturalnego ludzkości.

Wątpię czy jego hitlerowski umysł zdoła zrozumieć: dlaczego?

***

Hoess typowy i podobny do wielu innych SS-manów, był jednak szczególnie gorliwym, sumiennym i „doskonałym" — gdy chodzi o technikę — kierownikiem obozu w dziedzinie zagłady. Cała działalność obozu nosiła piętno jego osobistej działalności. Był niezwykle skrupulatnym wykonawcą, ale przy tym i pomysłowym twórcą metod technicznych zagłady. Zapytany, czy obozy otrzymywały instrukcje co do sposobu spalania zwłok odpowiedział, że jego obóz wypracował własne metody krematoryjne.

Jeżeli zaś Hoess nie jest postacią wyjątkową, lecz raczej zwykłą i typową dla środowiska hitlerowskiego, to jak ocenia on dziś swoją ubiegłą działalność i jaki jest jego dzisiejszy stosunek do tej działalności. Jasną jest rzeczą, że znalazłszy się w wyniku klęski Niemiec hitlerowskich przed sądem narodu zwycięskiego, nie może zaprzeczyć oczywistym realnym konsekwencjom tej klęski. Stwierdza mylność założeń hitleryzmu, stwierdza wadliwość metod postępowania, a nawet w umiarkowanych wyrazach decyduje się na pewien rodzaj formalnego potępienia samej instytucji obozów zagłady.

Ale dlaczego? Dla jednej tylko przyczyny: ponieważ hitleryzm i stosowane przez niego środki nie dały Niemcom ostatecznego zwycięstwa. A więc nie sama w sobie potworność środków stosowanych codziennie w Oświęcimiu, nie jakość i ilość krzywd wyrządzonych całej ludzkości, ale bezskuteczność metod hitleryzmu wobec nieosiągnięcia zamierzonych celów. To jest jedyny motyw potępienia, na jakie się zdobył oskarżony Hoess.

Jaki zaś jest dziś osobisty stosunek Hoessa do swojej własnej działalności na stanowisku komendanta obozu w Oświęcimiu? Wykładnikiem tego stosunku jest jego zachowanie się wobec zeznań świadków w toku procesu. Wszystko, co odtwarzają owe zeznania, jest przez Hoessa kontrolowane i śledzone. Jego milczenie może uchodzić niemal za potwierdzenie, a czyni to wszystko z kamienną twarzą i spokojem niemal legendarnym. Nie żal mu ludzi, nie wzruszają go najkoszmarniejsze opisy. Tak było, więc po co ma przeczyć? Czasem jednak kamienna twarz Hoessa ożywia się. Boli go dziś tylko to, co wskazuje, że działał albo nie dociągając do granic swoich obowiązków służbowych albo przekraczając te granice.

Przytoczę fakt, który go może najbardziej oburzył. Zabolał go mianowicie zarzut, że dawał za mało gazu do komór gazowych. Wstał i oświadczył, że zawsze dawał tyle gazu, ile trzeba było dawać, bo przepis ustalał tę rzecz z całą dokładnością.

Osk. Hoess stale podkreślał, że zarządzenia władz, które szły z góry, wykonywał bez słowa protestu, podporządkowywał się im, bo ufał i ślepo wierzył swoim przełożonym.

Raz jeden tylko skierowałem do osk. Hoessa pytanie, które dawało mu okazję do jakiejś głębszej wypowiedzi. Wypowiedź ta mogłaby może ujawnić jakąś wyższą, lepszą moralność jego myśli, niż była nią moralność jego uczynków. Pytałem co uczynił, żeby się uwolnić od wykonywania tak potwornych obowiązków mordowania ludzi, nałożonych na niego przez władzę. Całą odpowiedzią było, że to zagadnienie w ogóle mu w myśli nie powstało, że ono wogóle nie wchodziło w rachubę. Po takiej odpowiedzi i w związku ze wszystkimi jego wyjaśnieniami złożonymi w śledztwie, my, oskarżyciele, zaniechaliśmy stawiania mu pytań z zakresu oceny moralnej czynów. Może byśmy odnieśli swymi pytaniami taki, czy inny doraźny efekt, ale napewno nie dalibyśmy Trybunałowi nic takiego, co by mu pozwoliło spojrzeć na Hoessa, jak na człowieka, który myśli o etycznej wartości swoich uczynków. Był on tylko automatem, niczym więcej.

Chwilami doprawdy odnosiło się wrażenie, że Hoess nie mówi do Trybunału Polskiego, ale że stoi przed kapitułą wysokiego orderu, jakim został w Niemczech odznaczony, krzyża zasługi służbowej, że przed tą kapitułą orderu legitymuje się, jak on znakomicie wykonywał wszystkie swoje obowiązki, legitymuje się tym i oczekuje, że kapituła da mu odznaczenie.

Umysłowość Hoessa nie może stanowić dla Trybunału najmniejszej zagadki. Tak, ale czy dla więźniów Oświęcimia umysłowość ta nie kryła tragicznych niespodzianek?

Pewną część przewodu sądowego zajęły badania zdarzeń z zakresu osobistego bestialstwa Hoessa, jego bezpośredniego udziału w znęcaniu się nad więźniami i ich dręczeniu.

Zeznania świadków na ten temat wypadały w szczegółach dość różnie, pozwalają jednak na wyciągnięcie jednolitych wniosków.

Hoess nie jest typem uczuciowca, ani w płaszczyźnie emocji dodatnich, jak litość i współczucie, ani też w płaszczyźnie emocji ujemnych, jak gniew i okrucieństwo. Zachowanie się oskarżonego na rozprawie jest najlepszym tego sprawdzianem.

Dlatego Hoess nie może być w żadnym razie uznany za okrutnika emocjonalnego, powiedzmy tego typu co najstraszniejszy kat Oświęcimia ów Palitsch z Bloku 11, czy capo Krankemann. Hoess nigdy nie dawał ujścia jakimś irracjonalnym odruchom nienawiści czy pogardy w stosunku do więźniów. W zasadzie sam nie bił, ani nie katował.

Ale występował osobiście i nie żałował własnoręcznego wysiłku fizycznego wszędzie tam, gdzie uważał to za konieczne ze względów służbowych. Aby przyśpieszyć rozładowanie transportu przybyłego wprost „do gazu" i sterroryzować przybyłych, Hoess mógł istotnie schwytać dziecko i rozbić jego główkę o brzeg wagonu czy o drzewo. Aby pouczyć załogę SS-mańską krematoriów, jak to czynić należy, Hoess mógł istotnie własnoręcznie rzucać zwłoki na stos. Aby podkreślić niedopuszczalność tolerowania w obozie więźniów zmuzułmaniałych. Hoess mógł własnoręcznie zastrzelić muzułmanina. Aby podkreślić pseudolegalny charakter karania więźniów śmiercią na Bloku 11, Hoess zawsze asystował przy oficjalnym wykonywaniu kary śmierci.

Poprostu od Hoessa wymagano, aby był okrutnikiem, więc nim był, ale na zimno, czyniąc to raczej beznamiętnie, dozując okrucieństwo według potrzeb planowego gospodarowania śmiercią. Przejdzie do historii, jako typ okrutnika z własnej woli i z własnej chęci, ale nie z własnej namiętności. Obrazem równie niespodziewanym braku namiętności i temperamentu jest zachowanie się oskarżonego Hoessa na rozprawie.

Czy trzeba dodawać, że ten typ okrucieństwa jest najstraszliwszy, najcięższy do znoszenia dla wszystkich tych, nad którymi tacy ludzie, jak osk. Hoess, się znęcali. Czy trzeba dodawać, że u człowieka tego typu, co osk. Hoess, jest rzeczą zupełnie wyłączoną jakieś przeobrażenie wewnętrzne, jakiemu uległ np. Palitsch, który, gdy zakochał się w kobiecie osadzonej w obozie oświęcimskim i wskutek tego znalazł się w bunkrze, jawnie rzucał wyrazy potępienia obozu oświęcimskiego i szukał poparcia między więźniami. Okrutnik Palitsch był typem emocjonalnym. Oskarżony Hoess jest typem nawskróś racjonalistycznego okrutnika.

Absolutna obojętność Hoessa na zagadnienia religii, zupełna nieczułość na cierpienia ludzkie, gotowość popełnienia najpotworniejszych, byle nakazanych mu zbrodni — oto typowe cechy psychiczne zjawiska zwanego moral insanity, co należałoby tłumaczyć na język polski jako zdziczenie moralne.

Przedwojenna psychiatria kryminalna w oparciu o dogmatykę prawa karnego materialnego skłonna była traktować ową moral insanity jako objaw choroby psychicznej, zresztą spotykanej raczej w podręcznikach naukowych, niż w życiu.

Powojenna praktyka w sądzeniu zbrodni wojennych przez wiele trybunałów zerwała z tym poglądem. Wszędzie bowiem w szeregach zbrodniarzy niemieckich występują liczni osobnicy najzdrowsi, najnormalniejsi w sensie zdrowia psychicznego, tworzący typ nieznany dotychczas w obecnym wieku kultury i cywilizacji, pewien odrębny typ w grupie tzw. przestępców z przekonania. Brak jakichkolwiek podstaw teoretycznych do traktowania tego rodzaju moral insanity jako choroby umysłowej.

Powszechność tego zjawiska, jako produktu zagrania przez hitleryzm na najniższych instynktach ludzkich, wyzwolenie tych instynktów z człowieka i powierzenie im szczególnych funkcji politycznych — sprawiły, że naród niemiecki, mający poprzednio w dziejach opinię narodu poetów i myślicieli, ein Volk von Dichtern und Denkern, będzie musiał łożyć wiele wysiłków, ażeby zetrzeć z siebie piętno narodu grabieżców i katów, ein Volk von Dieben und Henkern.

Jeżeli Hoess był tylko typowym, nie zaś wyjątkowym zbrodniarzem, to czy indywidualność jego mogła zaważyć na losach więźniów oświęcimskich? Niewątpliwe tak.

Hoess był po pierwsze najbardziej gorliwym, a po drugie najbardziej uzdolnionym wykonawcą ludobójczych planów niemieckich, indywidualnością zaś swego wykonania zabarwił styl życia w obozie oświęcimskim. Przecież w swoim własnym rozumieniu był wzorem sumienności. Ten człowiek bez nerwów, bez uczuć, mógł dać z siebie największą ilość okrucieństwa. Najgorsze potworności obozu nie mogły go zmęczyć, ani osłabić tempa jego działalności. Inni dawno by się wyczerpali — on nie. Stąd jakże trafna ocena w zeznaniach jednego ze świadków: „gdyby Hoes wykonywał tylko to co mu kazano i nic ponadto, byłoby w Oświęcimiu mniej ofiar".

Wszakże sylwetka psychiczna Hoessa nie byłaby zupełna, gdybym nie podkreślił jego szczególnych uzdolnień organizacyjnych i administracyjnych.

Jeżeli zważyć, że Hoess stworzył obóz oświęcimski — jak się popularnie mówi — z niczego, tzn. od jego pierwocin i doprowadził go do olbrzymiej pojemności 140 tysięcy więźniów, wydajność zaś komór gazowych do 60 tysięcy ludzi dziennie, było to niezwykłym osiągnięciem technicznym. Prawda, że do dyspozycji komendanta oddano liczny personel SS-manów i najtęższe siły fachowe spośród więźniów. Prawda, że Hoess mógł sięgnąć do niewyczerpanej poprostu liczby wykonawców-więźniów, zmuszonych gwałtem do rozbudowy Oświęcimia. Prawdą jest, że miał do dyspozycji środki materialne po temu. Prawdą jest wreszcie, że absolutnie nie liczył się ani z potrzebami, ani z wytrzymałością ludzką robotników więźniów.

Trzeba jednak wziąć pod uwagę, że Hoess jest człowiekiem bez wykształcenia, może się wylegitymować zaledwie ukończeniem pięciu klas gimnazjum niższego stopnia. Przebieg jego życia wskazuje, że nie miał ani czasu, ani możności przeprowadzenia jakichkolwiek studiów, chyba że dla celów nauki i wykształcenia osobistego — w co wątpię — wykorzystał te sześć lat, które przebywał w więzieniu między rokiem 1923 a 1929 za udział w mordzie kapturowym z mocy wyroku sądu niemieckiego.

Trzeba mieć nielada zdolności, aby z prostego szeregowca w służbie załogi obozu w Dachau w r. 1934 stać się w siedem lat później wielkim przemysłowcem w nowoczesnym stylu. Bo czymże, jak nie nowoczesnym „przemysłem śmierci" był obóz oświęcimski, nazwany nawet w określeniach oficjalnych „Vernichtungsanstalt".

Jeżeli celem działalności obozu była taka obróbka dostarczonego surowca ludzkiego, aby doprowadzić go do śmierci, to mechanizm działalności przemysłowej obozu, prowadzącej zgodnie z założeniem naczelnym do zagłady ludzi, nosi wszystkie znamiona nowoczesnych urządzeń technicznych wielkich zakładów produkcyjnych.

Pragnąłbym do ścisłych danych przewodu sądowego dodać pewną wizję, która ułatwi ogarnięcie całości zjawisk. Czyż bowiem obraz życia więźniów w obozie nie nasuwa ścisłej analogii z systemem Taylora, stosowanym obecnie w wielkim przemyśle?

Jak na konwojerach czy taśmach posuwają się naprzód produkowane przedmioty, przechodząc z rąk jednych robotników do drugich poprzez wszystkie stadia procesu wytwórczego tak w wyobraźni każdego na niewidzialnej taśmie przesuwa się poszczególne transporty więźniów przybywających do Oświęcimia, by tutaj dojść z czasem do szczytowego stadium produkcji — do śmierci.

Niewidzialna taśma przesuwała transport do stadium przyjęcia, dalej do kwarantanny, dalej do poszczególnych oddziałów pracy, do poszczególnych kommando.

W pewnych stadiach transport ten przesuwał się ponad sitem, które przepuszczało jedynie półfabrykaty dojrzałe do uśmiercenia. Były to owe słynne selekcje. Pojedyńcze sztuki przepuszczane przez sito odjeżdżały na innych taśmach do bloku 11, potem, do bloku, gdzie zastrzykiwano fenol, wreszcie po udoskonaleniu procesów produkcyjnych — do gazu.

Później, już w czasie istnienia przysposobionych do tego celu komór gazowych kierownik przedsiębiorstwa, przeszedłszy na produkcję ściśle masową, znaczną większość transportów przesuwał na taśmie wprost do jednego z końcowych, ściśle do przedostatniego stadium — do komór gazowych. Ostatnim stadium było krematorium.

Gdyby wszakże ten najwydatniejszy, najszybszy sposób stosowano wyłącznie, wówczas część fabryki o starszych urządzeniach technicznych — powiedzmy przestarzałych — stałaby się wprost nieopłacalna. Szkoda zaś kapitału zainwestowanego. I dlatego komendant Oświęcimia dba o to, aby wykorzystać i tę przestarzałą część swoich zakładów. Część surowca ludzkiego idzie dawnym trybem produkcji. Dodać przy tym należy, że w owym czasie po przełomowej klęsce stalingradzkiej znaczną rolę zaczęła odgrywać potrzeba zużytkowania produktu ubocznego obozu oświęcimskiego, jakim była praca więźniów w przemyśle zbrojeniowym niemieckim. Początkowo praca więźniów nie odgrywała żadnej roli, nikt się z nią nie liczył, w dalszych stadiach istnienia obozu oświęcimskiego wysunęła się jednak na czoło.

W zasadzie przewidziany był przecież okres czasu, kiedy ten surowiec ludzki miał być przerobiony na zwłoki ludzkie. Były to owe trzy miesiące krańca wytrzymałości więźnia. Zdarzały się jednak wyjątkowo twarde i nieuległe sztuki surowca, które obóz Oświęcimski musiał obrabiać dłużej.

Czyż więc Hoess nie był przemysłowcem w wielkim stylu?

Sądzę, że dopiero spojrzenie na oskarżonego Hoessa, jako na nowoczesnego przemysłowca śmierci, da nam możność należytej oceny jego winy oraz stopnia niebezpieczeństwa, jaki reprezentował dla całej ludzkości.

Miarę niebezpieczeństwa, jaki reprezentuje jest nie tylko liczba już więzionych przez niego lub zamordowanych, ale nadto te potencjalne możliwości jakie reprezentował.

Karny, zdyscyplinowany, posłuszny aż do zatraty swej osobowości, bez najmniejszej wewnętrznej potrzeby wartościowania moralnego, bez nerwów, bezduszny, nigdy niezawodny automat do mordowania ludzi, idealny instrument dla tych, co nie plamiąc rąk, chcą uśmiercać miliony.

Mieczysław Siewierski.

TREŚĆ NUMERU 19:

Konstanty Grzybowski — **Niebezpieczeństwa i zadania.** Aleksander Hertz — **O energii atomowej i paru innych sprawach (II).** Witold Łukaszewicz — **Konstytucja 3-go Maja 1791 roku we współczesnej opinii francuskiej.** Kazimierz Brandys — **Krytycy czyli ciotki.** Maciej Żurowski — **Od Aloysiusa Bertranda do Aragona.** Tadeusz Borowski — **Pożegnanie z Marią.** Kazimierz Sokołowski — **Aprowizacja** — Zygmunt Mysłakowski — **Czy doświadczenie uczy?** Tadeusz Drewnowski — **Nowa lekcja francuska.** Janina Czeraszkiewicz — **W sprawie audycji radiowych dla świetlic wiejskich.** Adam Kotula — **Szczury morskie. Przegląd Prasy, Korespondencja, Noty.**

ALEKSANDER HERTZ

O energii atomowej i paru innych sprawach (III)

V

GENERAŁOWIE I WIELKA POLITYKA

Jak już wspominałem, zarówno Sekretarz Wojny jak i Sekretarz Marynarki gorąco wypowiedzieli się za Lilienthalem. Nie jest jednak tajemnicą, że są w Ameryce koła wojskowe, bardzo nieżyczliwie odnoszące się do osoby byłego przewodniczącego TVA. Koła te — wymienia się nazwiska pewnych generałów i admirałów — głosu publicznie nie zabrały. Ale obecność ich dała się wyczuć poza wystąpieniami tych Senatorów, którzy stanowili trzon opozycji anty - lilienthalowskiej. Aby wyjaśnić, o co tu chodzi, trzeba nieco szerzej potraktować zagadnienie militaryzmu w Ameryce.

Gdy generałowi Eisenhowerowi została powierzona naczelna komenda nad sojuszniczymi armiami w Europie zachodniej, fakt ten był przyjęty przez świat pozaamerykański z wyraźnym zakłopotaniem. Nie sądzono, by Amerykanin mógł się wywiązać z takiego zadania. Skąd Amerykanin? — Było przecież rzeczą powszechnie wiadomą, że Ameryka jest krajem wybitnie nie wojennym, pacyfistycznym, że obce jej są tradycje militarne, że nie posiada korpusu oficerskiego, stojącego na poziomie korpusów oficerskich większości krajów europejskich. Wyniki, jakie osiągali Marshall Eisenhower, Bradley czy Patton budziły też powszechne zdumienie. Nie były zgodne z tym obrazem, jaki świat miał o amerykańskiej sztuce wojennej.

Zapomniano po prostu o historii Ameryki, zarówno Ameryki kolonialnej jak i Stanów Zjednoczonych. A raczej historii tej nie znano. Któż w Europie zdawał sobie sprawę z faktu, że całe dzieje narodu amerykańskiego, to jedno pasmo rozpraw wojennych, że od trzystu lat każde pokolenie Amerykanów uczestniczyło przynajmniej w jednej wojnie? W epoce kolonialnej były to głównie wojny z Francuzami i z posiłkującymi ich Indianami. Później przyszła wielka wojna z Anglią o niepodległość. Później druga wojna z Anglią, były wojny z Meksykiem, wojna domowa, wojna z Hiszpanią, obie wojny światowe. A w międzyczasie — szereg drobnych wypraw i operacji w krajach zamorskich i w Ameryce łacińskiej. Wojna domowa była po kampaniach napoleońskich najkrwawszą wojną wieku XIX. Była to rozprawa orężna na kolosalną skalę. Taki marsz Shermana przez Georgię pod niejednym względem przypominał późniejszy Blitzkrieg i późniejsze wojny totalne. Wojna domowa wydała oficera tej miary, co generał Lee (któż w Europie interesował się postacią tego niezwykle utalentowanego dowódcy!!) i wielu innych klasy nieprzeciętnej, w rodzaju Granta i Shermana.

Thomas Nichols, autor bardzo ciekawych wspomnień, obejmujących 40 lat dziejów Ameryki ubiegłego stulecia („40 Years of American Life" by Thomas Nichols), pisze, że po wojnie domowej w przekonaniu Europejczyków każdy turysta amerykański, odwiedzający stary świat, musiał mieć tytuł wojskowy. Innych bowiem nie spotykano. A i w samej Ameryce roiło się od oficerów czy od ludzi, legitymujących się tytułami oficerskimi.

Mało ważne jest, jaka była geneza tych tytułów (duża ich część była nabyta w milicjach stanowych). Ale ważne jest to, że w Ameryce zawsze istniały tradycje militarne, że mundur miał swój urok, że tytuły wojskowe cieszyły się szacunkiem, że wytworzył się tu społeczny wzór wojskowego.

Zawsze też w Ameryce istniała grupa zawodowych wojskowych, przeważnie wychowanków dwóch słynnych szkół — West Point (armia) i Annapolis (marynarka wojenna). W obu tych szkołach przechowywały się tradycje bojowe, połączone z tradycjami kastowymi i z przekonaniem o specjalnej misji oficerów Stanów Zjednoczonych. Wychowankowie West Point i Annapolis dostarczają armii i flocie zespołu kierowniczego i silnie rozwinięte esprit de corps jest ważną cechą tego zespołu.

W starej Europie mocne i trwałe więzi łączyły świat oficerski ze światem feudalno - szlacheckim. Niemniej mocne i trwałe więzi łączą oficera amerykańskiego ze światem polityki amerykańskiej i ze światem „Big Business'u".

Aby dostać się do West Point, trzeba być poleconym przez Senatora stanu, z którego kandydat pochodzi. Promocje na wyższe szczeble hierarchii wojskowej wymagają zatwierdzenia przez Senat. Są to ważne okoliczności, wciągające oficera w matnię amerykańskiego politykierstwa.

Jeszcze ważniejsze są związki ze światem wielkich kapitałów. Niewątpliwie wśród wychowanków West Point i Annapolis nie znajdziemy wielu synów milionerów. Ale przez szkoły te droga nieraz prowadzi do milionów. Jest bowiem rzeczą pospolitą, że oficerowie opuszczają armię i flotę dla intratnych stanowisk w przemyśle, w bankowości czy w ubezpieczeniach. Wielkie firmy chętnie widzą u siebie, i to na bardzo wysokich stanowiskach, oficerów rezerwy, utrzymujących przyjazne stosunki z kolegami w służbie czynnej. Ważną okolicznością jest i to, że w armii szybko awansuje się w rezerwie. Stąd nie jest osobliwością że bankier czy przemysłowiec, który jako kapitan opuścił służbę czynną, w rezerwie dochodzi do stopnia generalskiego. Taki generał w czasie wojny znów wraca do służby czynnej, gdzie otrzymuje wysokie stanowisko — zwłaszcza w sztabie albo w aparacie gospodarczym.

Wojna stwarza też inny rodzaj pułkowników i generałów. W Stanach Zjednoczonych stopnie wojskowe mogą być nadawane ludziom, nie mającym kwalifikacji militarnych w ścisłym tego słowa znaczeniu. Chodzi tu w szczególności o te stanowiska w armii i flocie, które jako związane z życiem gospodarczym wymagają tak zwanych fachowców. Zaopatrywanie sił zbrojnych, kontrola nad przemysłem wojennym, nad komunikacją i setki pokrewnych dziedzin są powierzane przedstawicielom „Big Business'u", ubranym w mundury wyższych oficerów.

Bardzo skomplikowane te sprawy mogę tu przedstawić jedynie w sposób szkicowy. Jednakże z tego, co zostało powiedziane, wynika jasno, że związek amerykańskiego świata wojskowego ze światem wielkich kapitałów jest bardzo ścisły, bliski i wszechstronny. Ta okoliczność ma duże znaczenie dla zrozumienia stanowiska pewnych kół wojskowych wobec Davida Lilienthala.

Oczywiście nie trzeba tych rzeczy zbyt uogólniać i upraszczać. Byłoby absurdem twierdzić, o wielu najwybitniejszych amerykańskich oficerach, że są narzędziami w rękach wielkich firm przemysłowych czy bankierskich. Ale też nie brak w Ameryce generałów i szczególnie admirałów, którzy są bezpośrednio i bardzo intymnie związani z „Big Business'em". Czynne są tu kliki wojskowe, bardzo reakcyjne, bardzo imperialistyczne i bardzo politykierskie. Wojna ostatnia niezmiernie sprzyjała rozwijaniu się takich klik. A do tego wojna ta zakończyła się pod znakiem bomby atomowej. Można sobie wyobrazić, jak czuje się wojskowy, który rozporządza taką bronią. Można sobie wyobrazić, jakie są jego sny i marzenia, jak zaczyna patrzeć na swą dalszą rolę. Bomba atomowa stała się w Ameryce nieprawdopodobnie potężnym bodźcem rozwijania się środowisk militarnych, które, choć niezawsze dążą do otwartej wojny, pragną jednak zmilitaryzowania całego życia zbiorowego.

Moment wybuchu bomby atom. na Bikini (zdjęcie z lotu ptaka)

Wynalezienie bomby atomowej było dziełem grona najwybitniejszych fizyków amerykańskich. Badania zapoczątkował Einstein, wysyłając do Roosevelta historyczny list, w którym zwrócił uwagę na możliwość wyzyskania faktu rozbicia atomu dla celów wojny. Dalsze badania i sama fabrykacja bomb odbywały się w ramach najściślej przestrzeganej tajemnicy wojennej i pod surową kontrolą władz wojskowych. Od pierwszej też chwili było rzeczą oczywistą, że czynniki militarne chcą zagadnienie energii atomowej traktować jako własną domenę, sprowadzając energię atomową na płaszczyznę jej wojennego zastosowania.

Po wojnie to nastawienie amerykańskich kół wojskowych wystąpiło bardzo wyraźnie w dwóch okolicznościach: w związku ze sprawą kontroli nad produkcją energii atomowej w Ameryce oraz w związku z międzynarodową kontrolą nad bronią i energią atomową. Jedno i drugie pozostaje, rzecz jasna, w najściślejszym powiązaniu ze sobą.

Czy czynniki wojskowe czy cywilne mają w Stanach Zjednoczonych wziąć w swe ręce nadzór nad produkowaniem energii atomowej? — To pytanie stanęło przed Kongresem już na początku roku 1946. Projekty, wysuwane przez koła wojskowe, szły bardzo daleko. W praktyce oddawały one czynnikom militarnym całkowitą kontrolę nad produkcją energii atomowej. W praktyce też laboratoria naukowe, zajmujące się energią atomową, stałyby się instytucjami wojskowymi, fizycy byliby funkcjonariuszami wojska, nie mieliby swobody badań, a wyniki przez nich osiągane, byłyby trzymane pod kluczem tajemnicy wojskowej. Łatwo sobie wyobrazić polityczne następstwa zwycięstwa takiej filozofii. A jednocześnie, wobec bliskich stosunków, łączących koła wojskowe z wielkim przemysłem, nie byłoby żadnej gwarancji, że największe korzyści z pozawojennego wyzyskiwania energii atomowej nie przypadną kilku czy kilkunastu gigantycznym „korporacjom".

Amerykański świat naukowy gorąco zaprotestował przeciw takiej koncepcji. Znalazł on poparcie w grupach liberalnych, w ruchu robotniczym i we wszystkich tych ośrodkach życia amerykańskiego, które chcą pokoju, międzynarodowego współżycia i nie mają zaufania do „Big Business'u". W Kongresie kampanię na rzecz cywilnej kontroli nad energią atomową skutecznie poprowadził Senator Brien McMahon, Demokrata z Connecticut. Ustawa, nosząca jego nazwisko, była jednym z niewielu zwycięstw, jakie liberałom amerykańskim udało się odnieść w czasach ostatnich.

Drugą okolicznością, przy której zaznaczyły się monopolistyczne tendencje kół wojskowych, był raport Barucha - Achesona, raport, w którego opracowaniu Lilienthal odegrał ogromną rolę. Raport ten, jak wiadomo, definiuje amerykański punkt widzenia na sprawę międzynarodowej kontroli nad bronią atomową. I bez względu na to, jak ocenimy propozycje amerykańskie, możemy przyjąć, że stworzyły one jakąś podstawę dla dyskusji nad praktycznym rozwiązaniem zagadnienia sprawowania przez Narody Zjednoczone kontroli nad najstraszliwszą bronią, jaką człowiek dotąd wymyślił.

Raport Barucha - Achesona spotkał się w pewnych kołach amerykańskich z bardzo nieżyczliwym przyjęciem. Stary Senator Kenneth McKellar był bardzo szczery, gdy w czasie przesłuchiwania Lilienthala powiedział, że modli się do Boga, by nie doszło do międzynarodowego porozumienia w sprawie broni atomowej. O to samo modlą się izolacjoniści, tego samego chcą skrajni imperialiści (wielu z nich przed wojną było skrajnymi izolacjonistami) i tego samego chce wielu amerykańskich generałów i admirałów. Bomba atomowa nie umiędzynarodowiona, bomba atomowa, będąca monopolem Ameryki, to gwarancja nadejścia „wieku amerykańskiego" — American Century — nowej ery, o której śni niejeden ex-izolacjonista.

Debaty nad kandydaturą Lilienthala stały się dla kół wojskowych sygnałem do wznowienia akcji. Prawda, że Lilienthal, przyjmując swą kandydaturę, zgodził się, że w sprawach związanych z obroną narodową będzie najściślej współpracował z czynnikami wojskowymi. Zadowoliło to departamenty, służące obronie narodowej, nie zadowoliło oficerów, którzy, jak generał Leslie R Groves, dążą do całkowitego zmilitaryzowania produkcji energii atomowej. Ten ambitny generał był w czasie wojny wojskowym komendantem słynnego Manhattan Project. Dziś uchodzi za sprężynę tych intryg, jakie wychodzą z kół wojskowych. O generale Groves mówi się, że inspirował wielu Senatorów wrogich Lilienthalowi, że dostarczał amunicji tym wszystkim, dla których umiędzynarodowienie broni atomowej jest zdradą interesów amerykańskich. Przypuszczano, że generał Groves był kandydatem klik wojskowych na oczyszczone po Lilienthalu miejsce przewodniczącego Komitetu do Spraw Energii Atomowej.

Nie trzeba długo się rozwodzić nad międzynarodowym znaczeniem tego aspektu **l'affaire Lilienthal.** Ideologowie „wieku amerykańskiego", skrajni militaryści i imperialiści prowadzili tu grę, w której najmniejszą stawką była osoba skromnego prawnika z Illinois. W rzeczywistości stawka jest nieskończenie większa i gra o tę stawkę będzie toczyła się nadal.

VI

GOP I PORACHUNKI

Ale jest jeszcze jeden aspekt **l'affaire Lilienthal.** Aspekt, związany z partyjną konfiguracją amerykańskiej sceny politycznej.

GOP — to inicjały Partii Republikańskiej. Oznaczają one Great Old Party — Wielka Stara Partia. Partia, ta która zowie się wielką i starą, panuje dziś w obu izbach Kongresu. Szykuje się też do objęcia w roku 1948 panowania w Białym Domu.

Podobnie jak Partia Demokratyczna, tak i GOP jest zlepkiem różnorodnych grup, środowisk, klik i — przede wszystkim — ambicji. W zlepku tym jednak rola kierownicza przypada skrajnym reakcjonistom, mężom zaufania „Big Business'u", politykom w rodzaju Tafta, Hoovera, Vandenberga, White'a, Wherry'ego i całej plejady im podobnych.

Polityków tych wiele łączy, ale i bardzo wiele dzieli. W pierwszym rzędzie dzielą ambicje, aspiracje do Białego Domu, rywalizacje o stanowiska w partii i w Kongresie. Od roku 1933 GOP była partią mniejszości. Politycy jej mają więc za sobą okres długiego postu i dzięki temu mają dziś potężne apetyty.

Czołowymi przywódcami GOP są Senatorowie Robert A. Taft z Ohio i Arthur H. Vandenberg z Michigan. Nie są to przyjaciele. Vandenberg z dużym niesmakiem myśli o Tafcie jako o ewentualnym kandydacie na Prezydenta. Nie podziela też Senator z Michigan tej filozofii politycznej, jakiej wciąż hołduje Senator z Ohio. Sprawa Lilienthala posłużyła Vandenbergowi za teren porachowania się z Taftem.

Jeżeli Vandenberg poparł Lilienthala, to — rzecz jasna — nie z miłości dla ideałów, jakim służy były przewodniczący TVA. Dla Vandenberga okolicznością najważniejszą było to, że Taft jest przeciwnikiem Lilienthala. W kalkulacji Senatora z Michigan— a podobnych kalkulantów było w Partii Republikańskiej znacznie więcej — zwycięstwo Lilienthala oznaczałoby poważną porażkę Tafta, który tak się zaangażował w walce przeciw Lilienthalowi. A porażka taka byłaby po prostu kompromitacją polityczną, kompromitacją w oczach wyborców. Rzecz nie bez znaczenia, gdy chodzi o przyszłe republikańskie kandydatury do godności Prezydenta Stanów Zjednoczonych.

Taft w swej filozofii politycznej może być uważany za jednego z ostatnich reprezentantów staroświeckiego izolacjonizmu amerykańskiego. Jest to izolacjonizm Środkowego Zachodu, izolacjonizm wciąż jeszcze odzwierciadlający to stadium historyczne, w jakim kapitalizm amerykański znajdował się przed pierwszą wojną światową. Nie jest rzeczą przypadkową, że Taft tak cierpko przyjął mowę Trumana w sprawie amerykańskiej pomocy dla Grecji i Turcji. Natomiast Vandenberg był entuzjastą tej mowy i zapewne jednym z jej inspiratorów. Albowiem Senator z Michigan przyjął wizję, jaką wojna roztoczyła przed amerykańskim kapitalizmem. Vandenberg jest jednym z wielu przedwojennych izolacjonistów, którzy nawrócili się na swoiście rozumianą współpracę międzynarodową. Umysły sceptyczne filozofię Vandenberga nazywają po prostu imperializmem.

Jednakże angażując się przeciwko Lilienthalowi, Taft widział w nim przede wszystkim jednego z czołowych przedstawicieli epoki „New Deal'u". Senatorowi z Ohio chodziło nie tyle o **l'affaire Lilienthal,** ile o **l'affaire Roosevelt.** W tym Taft był sekundowany przez grupę Senatorów z obu partii, zespolonych pragnieniem usunięcia resztek rooseveltowskiego „nierządu".

Przez cały czas ery rooseveltowskiej toczyła się dramatyczna walka o „New Deal". Siła Roosevelta polegała przede wszystkim na tym, że programem swym pozyskał dla siebie najszersze masy narodu amerykańskiego — robotników, farmerów, drobny przemysł i handel, intelektualistów. Jednakże w Amerykańskim Stowarzyszeniu Przemysłowców (National Association of Manufacturers — NAM), w izbach handlowych, w bankach, w „korporacjach" przemysłowych były legiony ludzi, dla których Roosevelt był synonimem szatana, a „New Deal" — piekła. Ludzi takich nie brakło w Partii Demokratycznej, największe jednak ich zastępy były w GOP. Trzeba przecież pamiętać, że kryzys roku 1929 przypadł na okres rządów republikańskich, że — od strony politycznej — był on kompromitacją partii Hardinga, Coolidge'a i Hoovera. Republikańscy wyznawcy free enterprise, głosiciele powrotu do „zdrowych" amerykańskich metod gospodarczych, republikańscy mężowie zaufania wielkich „korporacji" widzieli w „New Deal'u" również symbol swej klęski politycznej.

Wraz ze swymi przyjaciółmi z NAM czekali oni na chwilę odwetu. Chwila ta przyszła ze śmiercią Roosevelta i z końcem wojny. W Białym Domu znalazł się Truman, słaby przywódca rozbitej, skłóconej Partii Demokratycznej, a w społeczeństwie zaznaczyły się objawy znużenia „heroizmem" epoki Wielkiego Prezydenta. Jednocześnie wojna jeszcze bardziej wzmogła ekonomiczną potęgę wielkich „korporacji". Wybory roku 1946 dały zwycięstwo nie tylko Republikanom, ale i konserwatystom w obu partiach. Reakcja amerykańska uznała, że może przejść do ataku.

Przedmiotem tego ataku jest to wszystko, co zostawił po sobie „New Deal" — silny ruch zawodowy, ustawodawstwo socjalne, umowy zbiorowe w przemyśle, federalna pomoc dla farmerów itp. Sprawa Lilienthala stała się jednym z wielu odcinków, składających się na linię ataku. Jest to odcinek bardzo ważny, odcinek, nadający się do przeprowadzenia próby sił. Lilienthal jest uważany za czołowego filozofa „New Deal'u", jest organizatorem największego państwowego przedsiębiorstwa amerykańskiego, jest praktycznym planistą gospodarczym i gorącym zwolennikiem gospodarki publicznej. Z osobą jego jest związane zagadnienie panowania nąd najpotężniejszym w dziejach człowieka źródłem energii. W legislaturze stanu Tennessee jeden z niezależnych posłów rozsądnie mówił w ten sposób: „Słyszymy, że energia atomowa ma nas kiedyś zaopatrzyć w opał i światło. Chcę wiedzieć, czy sprawa Lilienthala nie jest ze strony „Big Business'u" próbą zagrabienia najnowszego bogactwa naturalnego, jakie stało się dostępnym dla człowieka?"

Taft i jego przyjaciele uznali, że sprawa Lilienthala daje dogodny punkt wyjściowy dla ostatecznego rozprawienia się z puścizną po erze „New Deal'u". Liczyli, że zwalczając Lilienthala, stworzą atmosferę, umożliwiającą w roku 1948 łatwe osiągnięcie zwycięstwa Partii Republikańskiej i jej wielkokapitalistycznym patronom. Tu jednak Taft popełnił błąd zasadniczy — jako pewnik przyjął swą wiarę w możliwość zawrócenia Ameryki do czasów Hardinga, Coolidge'a i Hoovera.

Ani Senatora Vandenberga, ani Bernada Barucha, ani arcybiskupa nowoorleańskiego, ani rady kościołów protestanckich nie można posądzać o jakiś radykalizm społeczny. I nie można o taki radykalizm posądzać dużej grupy republikańskich senatorów, którzy wbrew swym kierownikom partyjnym poparli kandydaturę Davida Lilienthala. Wszyscy oni, przy całym swym braku sympatii dla „New Deal'u", rozumieją, że nie da się z życia amerykańskiego wymazać tych śladów, jakie po sobie pozostawiły dwunastoletnie rządy Franklina D. Roosevelta. Rozważni konserwatyści nieufnie spoglądali na zabiegi Tafta, który — nadomiar złego — jako sojusznika dobrał sobie takiego McKellara.

W rezultacie sprawa Lilienthala jeszcze bardziej zaogniła — i tak już zaognione stosunki w GOP. I nie trzeba posiadać daru proroczego, by przewidzieć, że porachunki między Vandenbergiem i Taftem coraz częściej zaczną zaprzątać uwagę opinii amerykańskiej.

VII

ZAMKNIĘTY ROZDZIAŁ

Komisja Senatu swą uchwałą z dnia 10 marca, aprobującą kandydaturę Lilienthala, zamknęła jeden rozdział wielkiej walki, której symbolem stała się **l'affaire Lilienthal.** Ale walka będzie toczyła się dalej. Albowiem osoba byłego przewodniczącego Zarządu Doliny Rzeki Tennessee była tu tylko czymś przypadkowym. I byłoby szczytem naiwności przypuszczać, że uchwała w sprawie Lilienthala oznacza triumf liberalizmu amerykańskiego i klęskę reakcji amerykańskiej.

Senatorowie, którzy za nim głosowali (nie mówimy tu oczywiście o Senatorach liberałach), uważali, że cała ta sprawa nie jest właściwą płaszczyzną dla decydującej rozgrywki z siłami postępowymi. Byli pewni, że przyszły rozwój wypadków dostarczy im lepszych sposobności. I wszystko przemawia za tym, że słuszność jest po ich stronie. Słabość liberalizmu amerykańskiego, słabość ruchu robotniczego, obojętność i naiwny optymizm szerokich mas społecznych, kolosalne wzmożenie się sił reakcyjnych — „Big Business'u", klik wojskowych, kół imperialistycznych — oto elementy, z których zostaną zbudowane następne rozdziały dramatycznej opowieści.

Sprawa Lilienthala nie scementowała amerykańskiego obozu postępowego. Niewątpliwie Lilienthal cieszy się tu wielką popularnością. Jest on zresztą bardzo popularny w całym społeczeństwie. O tym pamiętało wielu głosujących za nim Senatorów. Ale cała sprawa mas nie zelektryzowała, nie wywołała w nich silnego oddźwięku. Wiedziano, że nie jest to zwykła rozgrywka, jedna z tych, jakie co dnia zdarzają się w Ameryce. A równocześnie reagowano na nią jak na zwykłą rozgrywkę. I w tym trzeba widzieć symptom groźny dla przyszłości amerykańskich sił postępowych.

Aleksander Hertz

RYSZARD MATUSZEWSKI

KRYTYCY CZY AKUSZERKI

Dobrze uczynił Kazimierz Brandys przypominając czytelnikom „Kuźnicy" w swoim ostatnim felietonie, że prócz wzorów wielkiej powieści, przywoływanych przez rodzimą krytykę, istnieją równie trudno osiągalne wzory wielkiej twórczości krytycznej. Należy mu się za to od nich niewątpliwa wdzięczność. Krytycy, to rzeczywiście dokuczliwy gatunek. Sami w najlepszym razie nie piszą ani wierszy ani artystycznej prozy. Mówię: w najlepszym razie, bo jeśli piszą — to na ogół gorzej niż ci, którym wytykają błędy stylu, konstrukcji, tematu. Istotnie — co tu gadać — prawdziwe ciotki. Siedzą obłożeni książkami, jak chorzy na wątrobę termoforami i mają za złe. Nie napróżno stwierdzono już niejednokrotnie, że krytykami zostawali zazwyczaj pisarze, którym się nie udało. Nie umieli napisać powieści. Stracili oddech, jako poeci. Za własne niepowodzenia mszczą się zgryźliwie na innych. Najbardziej uprzykrzony rodzaj w literaturze! Dalejże na krytyków!

Wydaje mi się nawet, że Brandys nie jest pierwszym, który narzeka u nas na brak wielkiej krytyki, że gdzieś to już słyszałem, i, że owe nawoływania: Balzak! Encyklopedyści! Wielka powieść! Wielka krytyka! Powtarzają się na przemian jak średniowieczne zawołania w turniejach rycerskich, albo wojenne okrzyki samurajów. Jedzie taki Wyka na krakowskim lajkoniku i woła: „Balzak!" (brzmi to jak „Banzaj"), a naprzeciwko wyskakuje Brandys na drewnianym koniu wymachuje Encyklopedią (co za siła! ile tomów!) i odwzajemnia mu się: „Voltaire!" Boję się, doprawdy, żeby nie powstały w ten sposób w Polsce nowe rody rycerskie: taki Dygat herbu Ferdydurke albo Kott herbu Stendhał (Czarny kot na czerwonym polu). Później ich wnuki będą innym wnukom zadawać pytania: pan z których Kottów? Tych od „Węgla", czy tych od „Mitologii i realizmu"? Mogą z tego powstać poważne komplikacje. Nowe tradycje rodowe tak się gotowe rozpowszechnić, że demokrację diabli wezmą.

Ale żarty na stronę. Odwoływanie się do wielkich tradycyj jest potrzebne nie po to, aby przeciwstawić udrapowaną wielkość zamierzeniom ambitnym lecz niedoskonałym. Może ono pośrednio oddziaływać na pobudzenie ambicji pisarza, ukazując mu perspektywy śmiałych koncepcyj, ale — i tu Brandys ma rację, — wielkości nie można postulować. Odwoływanie się do wielkich tradycyj ma, i powinno mieć poza tym inny, ważniejszy cel. Są różne tradycje. Jeśli młodemu pisarzowi niedoskonały krytyk przeciwstawia Balzaka, to nie oznacza to pretensji, że jego debiut nie dorównał „Komedii ludzkiej", ale troskę o to, że nie poszedł on torem tych tradycji pisarskich, które dla krytyka są z określonych względów szczególnie ważne. Wolno młodemu pisarzowi wybierać sobie inną, niż proponuje mu krytyk, tradycję literacką, ale jeśli sam on wprowadza rozróżnienie „krytyka" i „recenzenta", należy powiedzieć wyraźnie, że od krytyka nie ma on prawa żądać, aby oceniał go w ramach bliskiej pisarzowi, przez niego wybranej tradycji. Musi zgodzić się na ocenę w ramach systemu krytyka. Tego właśnie krytyka - ideologa, krytyka — jak mówi Brandys — kształtującego literaturę okresu, a nie recenzenta.

Brandys jest w swoich pretensjach do krytyka dziwnie niekonsekwentny. Z jednej strony potępia recenzję, a więc właśnie rodzaj, gdzie pisarz najsłuszniej stosunkowo domagać się może oceny wyników swej pracy w ramach tego, co sam sobie postawił jako zamierzenie twórcze, z drugiej zaś — przypomina, że należy żądać wielkiej krytyki i stwierdza, że recenzje nie kształtują literatury. Ani ten lekceważący stosunek do recenzji, ani porównania z dziedziny akuszeryjnej w odniesieniu do powstawania dzieł sztuki nie wydają mi się trafne. Krytyk jest od tego, aby mając ambicję stworzenia konsekwentnego systemu — to znaczy tej właśnie krytyki wielkiej, jakiej Brandys żąda — mierzył wszystko jakąś jedną, wspólną, szeroką miarą. O ile go na taką stać, o ile taką zdoła odnaleźć, bo nie jest to wcale łatwe. Recenzent — nie lekceważmy, nie obniżajmy jego skromnej roli — stoi wobec zadań o wiele bliższych tej trosce powieściopisarza, jaką wyraża Brandys. To on, a nie krytyk-ideolog jest najbliższym doradcą pisarza, analitykiem, podpatrywaczem jego literackiej kuchni. Tworzenie dzieła sztuki jest w dużej mierze świadome i nie wiele ma wspólnego z kształtowaniem się płodu w łonie matki. Pisarz, który twierdzi, że powił dziecię innej płci niż pragnął, i z tego czyni argument, apelujący do wyrozumiałości krytyków, przyznaje się do porażki. Nie jest to ujmą, ale nie jest i bronią przeciw krytyce. Krytycy nie są akuszerkami, a najważniejsze dla pisarza jest, aby wiedział do czego dąży. Nie ufajmy pisarstwu „nieświadomemu", nie wierzmy na wet lepiej w jego istnienie. Jeśli bywa ono niekiedy takim u swych pierwocin, bardzo szybko zdobywa samowiedzę. A wtedy pozostaje już tylko świadomy wybór dróg. Zadaniem krytyka jest pomoc w ich wyborze i odnalezieniu właściwego ich kierunku.

Ryszard Matuszewski

LEON PASTERNAK

„RZEŹ NIEWINIĄTEK"

ilustrował

MIECZYSŁAW PIOTROWSKI

SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZA „CZYTELNIK"

1 9 4 6

EWA KORZENIEWSKA

Z ZAGADNIEŃ REALIZMU

Stendhal

PISARZE o poziomie Mniszkówny ośmieszyli gruntownie jeden z najczęściej w XIX w. stosowanych wątków powieściowych—miłość plebejusza do arystokratki (lub vice versa). Motyw ten stał się przykrą konwencją literacką w chwili, kiedy nastąpiła demokratyzacja społeczeństwa i można przypuszczać, że los Mniszkówny podejmującej ten pomysł był zgóry przesądzony, bez względu na jej możliwości pisarskie. W XIX wieku, w okresie radykalnych przeobrażeń społecznych przedstawienie miłości wiązącej ludzi z różnych sfer było jednym z najprzydatniejszych elementów konstrukcyjnych powieści. Usprawiedliwiało naturalne zestawienie różnych klas społecznych, ułatwiało krytyczne oświetlenie pewnych środowisk, wyznaczało emocjonalny stosunek autora do zagadnienia. Stosowali je z mniejszym lub większym powodzeniem niemal wszyscy pisarze realiści, którzy podejmowali walkę z istniejącym układem społecznym. Wystarczy zestawić choćby tak różne powieści jak „Lalka" Prusa i „Czerwone i Czarne" Stendhala, w których pomimo różnicy narodowości, czasu powstania i talentu pisarzy nastawienie społeczne autorów decyduje o podjęciu podobnego motywu. W obu powieściach motyw miłości mężczyzny do kobiety z innej sfery rozrasta się w naczelną akcję i stanowi kompozycyjną więź utworu. Sposób konstruowania tej akcji i postaci z nią związanych charakteryzuje coś więcej niż technikę pisarzy. Charakteryzuje stosunek autorów do rzeczywistości i rolę jaką wyznaczają elementom strukturalnym powieści w negatywnej ocenie współczesnego życia.

W koncepcji Prusa akcja i postacie zostały całkowicie podporządkowane celom krytyki społecznej. Naczelne postacie „Lalki" są wyznaczone przez autora z niemal matematyczną ścisłością. Pomimo całego bogactwa rysów wewnętrznych są one figurami reprezentowanymi i niepodlegającymi zasadniczej wewnętrznej ewolucji. Wpływ epoki i środowiska określa nie tylko ich charakter, ale i sposób postępowania. Takie założenie wyznacza z góry bieg akcji. Wokulski nie może przestać kochać panny Izabeli, gdyż musi być wierny rycerskim ideałom romantyzmu i typowi swej uczciwości. Panna Izabela, reprezentując typ bezdusznej arystokratki, zdradziłaby swoją klasę gdyby pokochała kupca. Dlatego Wokulski nie może jak to robi Julian Sorrel — wleźć po drabinie do sypialni ukochanej, a Izabela, której by zapewne właśnie to zaimponowało, będzie do końca lekceważyła nieśmiałego i wiernego wielbiciela. Miłość Izabeli i Wokulskiego musi skończyć się tragicznie, aby świadczyć o wadliwości ustroju, w którym możliwe są typy podobne bezdusznej „lalce". Zakończenie wyznaczone z góry przez tezę autora staje się emocjonalnym efektem, potwierdzającym sąd o społeczeństwie. Takie zdeterminowanie postaci i ich losów zubaża akcję i pozbawia ją efektownych perypetii. Flirt Izabeli ze Starskim, który pociąga za sobą końcową katastrofę jest chyba jednym z najmniej efektownych „punktów kulminacyjnych" w bogatym świecie wydarzeń powieściowych. Z powodu ubóstwa perypetii akcja „Lalki" jest nawet pozbawiona dynamizmu. Natomiast zyskuje patos, właściwy tragediom greckim, gdyż rolę podobną do fatum odgrywa tu determinizm społeczny, wyznaczający postaciom ich charakter i sposób działania. Tragizm postaci Prusa i ich losów wynika z bezwolności człowieka, którego charakter został wyznaczony przez wpływ epoki i przynależnośc do warstwy społecznej. Nieszczęście zaś poszczególnych ludzi jest tym argumentem, który w pojęciu Prusa godzi najsilniej w wady ustroju. W ten sposób Prus podporządkowuje charakter postaci i bieg akcji celom krytyki społecznej.

Stendhal pozostawia swoim bohaterom o wiele więcej samodzielności i inicjatywy w organizowaniu akcji. Czy wynika to z romantycznej tradycji kondensowania dramatycznych konfliktów, czy też z pewnej przekory pisarza, roszczącego sobie prawo do stwarzania fikcji? Zapewne i jedno i drugie. W każdym razie Stendhal stwierdza ironicznie, że panna de La Mole, która nie waha się zostać kochanką wieśniaka, jest postacią całkowicie fikcyjną, bo przecież autorowi wiadomo, że żadna dobrze urodzona i wychowana arystokratka nie ważyłaby się na coś podobnego. Stendhal sam dostrzega tutaj, że przełożył prawdę psychologiczną ponad prawdopodobieństwo społeczne i że postacie jego słuchając porywów namiętności często świadczą przeciw poglądom swego twórcy.

Postacie Stendhala są tylko częściowo uwarunkowane przez środowisko. Panna de La Mole posiada wiele przywar swojej klasy, ale w dziedzinie uczuć postępuje zgodnie z prawem instynktu i namiętności, rozrywając łatwo więzy narzuconej obłudy i wpojonych konwenansów. Ciekawy charakter Juliana Sorel zdradza dużo cech subtelnie indywidualnych w zakresie życia miłosnego. Natomiast ten sam Julian staje się postacią typową wówczas, gdy reprezentuje interesy i ambicje swej warstwy społecznej, która po epoce Wielkiej Rewolucji i Napoleona nie mogła i nie chciała już zadowolnić się tym, co jej ofiarowywała Restauracja.

Zindywidualizowanie naczelnych postaci w sferze życia uczuciowego i podporządkowanie ich postępowania prawom psychologicznym wyznacza akcji miłosnej u Stendhala zupełnie inną rolę niż u Prusa. Bogata w efektowne perypetie akcja ta jest elementem drugorzędnym w sprawie krytyki społecznej. Ani jej rozwój, ani dramatyczne zakończenie nie są uwarunkowane przez jakieś czynniki społeczne. Śmierci Juliana nie jest winne społeczeństwo ani nawet panna de La Mole. Śmierć ta jest po prostu konsekwencją zbyt gwałtownych i nieopanowanych namiętności, przed którymi kapitulowały nawet przywileje arystokracji. Akcja miłosna w „Czerwonem i Czarnem" tylko pośrednio służy celom krytyki społecznej, ułatwiając Julianowi bliższe poznanie arystokracji i odsłaniając przed nimi życie salonów. Zakończenie powieści jest ciekawą próbą połączenia spraw społecznych z miłosnymi. Tragedia uczuciowa Juliana i oczekiwanie śmierci wpływają pobudzająco na jego dojrzewanie wewnętrzne. W przededniu skazania bohater Stendhala dochodzi do jasnego i krytycznego widzenia rzeczywistości, nie zamąconego porywami ambicji. Ta przemiana psychiczna usprawiedliwia — trochę zdawałoby się sztuczne — wystąpienie Juliana przed sądem, kiedy intymnie osobista sprawa staje się w interpretacji oskarżonego wydarzeniem typowym dla ustroju Francji. Słowami Juliana przemawia wówczas pokrzywdzony parweniusz, który w tej tragicznej dla siebie chwili podejmuje bez względu na konsekwencje ostrą krytykę społeczeństwa, czyniąc ze sprawy swej śmierci zagadnienie społeczne. W ten sposób Stendhal wiąże problematykę społeczną powieści z akcją, która przez większą część utworu pozostawała poza nawiasem krytycyzmu autora.

Zasadniczym „chwytem" Stendhala, odsłaniającym kulisy życia politycznego i społecznego jest wprowadzanie w różne środowiska młodego człowieka z najniższej sfery, człowieka, który posiada świeżość widzenia obcego przybysza. Autor obdarza go wielką uczuciowością, wrażliwą na wszelkie nastroje epoki i ogromną ambicją. Ambicja Juliana jest w powieści tym czynnikiem, który uzasadnia i tłumaczy jego gwałtowne i namiętne pragnienie kariery. To stałe i uciążliwe dążenie bohatera do sławy i zaszczytów kompozycyjnie stanowi więź spajającą problematykę społeczną powieści. Nieprzeciętnie inteligentny młody wieśniak gromadzi spostrzeżenia i ocenia rzeczywistość w sposób surowy i krytyczny. Początkowo demaskatorskie oceny Juliana są często naiwne, czasem wspomagane bezpośrednimi uwagami autora i innych postaci. W miarę intelektualnego dojrzewania bohatera stają się coraz bardziej precyzyjne i surowe. Krytyka okresu Restauracji została przez autora pogłębiona w sposób bardzo dramatyczny dzięki temu, że Julian usiłuje przyswoić sobie cechy charakteru i rodzaj życia właściwy duchowieństwu i arystokracji. Jego troska, jego uciążliwa walka i osiągnięcie należytego stopnia fałszu, obłudy i sprytu jest wspaniałym, silnym emocjonalnie sposobem demaskowania.

Temu celowi służą też drugorzędne postacie powieści, a więc prowincjonalni urzędnicy, uczniowie seminarium, arystokraci, pokazani w salonie i przy pracy. Postacie te, stojące poza zasadniczą akcją, posiadają charakter reprezentatywny i są w rękach autora figurami demonstrującymi całą wadliwość i szpetotę życia Francji w okresie Restauracji.

W powieści „Czerwone i Czarne" problematyka społeczna nasyca nie tylko tło. Jest sprawą równoległą i nie mniej ważną niż akcja. Autor jednak wiążąc kompozycyjnie w postaci Juliana wszystkie wątki część z nich podporządkowuje celom krytyki społecznej, część pozostawia ich własnemu, fikcyjnemu losowi.

Sławne sformułowanie Stendhala, porównujące powieść do zwierciadła na gościńcu, które odbija wszystko, cokolwiek napotka — jest niewątpliwie jednym z najbardziej znanych określeń postulatów naiwnie pojmowanego realizmu. Tak czy inaczej sformułowane hasła wierności życiu zdawały się trafnie ujmować jakąś cechę istotnie wyróżniającą ten nowy potężny kierunek w twórczości literackiej, w którym pisarz wyznaczał sobie skromną społecznie rolę obserwatora i protokulanta wydarzeń. Szczęściem dla literatury i dla życia żaden wielki realista nie mieścił się w tych ramach. Przekraczał je jako myśliciel i społecznik, pragnący reformować rzeczywistość. Ten krytycyzm, wysuwany obecnie coraz częściej jako typowa właściwość realizmu mieszczańskiego, zdaje się być istotnie jakąś cechą wyróżniającą literaturę tego okresu. Wyrażając się w sposób najróżniejszy, stał się niewątpliwie czynnikiem warunkującym zupełnie swoiste sposoby wyrazu właściwe powieściom realistycznym. Fakt, że powieści tego okresu różnią się od siebie wynika przede wszystkim z odmiennych sposobów realizacji zadań reformatorskich i krytycznych. Sam postulat wierności życiu doprowadziłby do stworzenia powieści różnych tylko pod względem tak zwanej „treści". Zwierciadło mogłoby odbijać różne wydarzenia, ale zawsze odbijałoby w ten sam naiwnie fotograficzny sposób. Negatywna ocena rzeczywistości, nowe perspektywy rozwojowe, które można osiągnąć dopiero po uświadomieniu i przezwyciężeniu istniejącego stanu rzeczy były tymi bodźcami, które wymagały od pisarza troski o jak najsilniejszy artystycznie wyraz jego sztuki. Ta droga była twórczą drogą poszukiwania takich sposobów artystycznej realizacji, które nie tylko dają czytelnikowi „rozkosz estetyczną", ale też kształtują go i wychowują. W tym dopiero znaczeniu pisarz realista stawał się istotnie współtwórcą życia i rozrywał więzy samotności poety romantycznego.

Dlatego można by zaryzykować twierdzenie, że jednym z bardziej celowych sposobów poznania i zrozumienia właściwości literatury tego okresu, byłaby odpowiedź na zagadnienie — jak wyrażał się w dziele sztuki krytycznej stosunek pisarza do współczesnego mu życia.

Ewa Korzeniewska

ZYGMUNT RADEK

PIEŚNI DRÓŻNIKA

Barbarze M.

Postacie z expresów, zjawy!
Dokąd pędzą was wojaże?
W porudziałym krajobrazie
Któż dróżnika zauważy...

Ogrodnik w kręgu warzywa
Przewiązuje pomidory.
Twarz pociągła, siwe skronie;
Żegnaj ostatni wagonie.

Żywota snuje się nitka
W barwach wiosny czy jesieni.
Zemrę. Głowę stoczy czerwiec,
Mury pustelni odmienią.

Lecz jeśli was wiódł Merkury
Ku brzegom chłodu, rozkoszy,
W kraj kobiet o smutnych oczach,
W doliny śpiewu, owoców,

Jeżeli rozkłady jazdy
Wytyczały waszą trasę,
Ja dróżnik niesyty świata
Na czekaniu żywot tracę.

***

Expresy — piękne doprawdy
Są wasze okna podłużne.
Żegnają mnie czułe damy.
Wspomnienie rzuca jałmużnę.

Radość ich oczu któż zdoła
Opowiedzieć. Wiatr je płoszy.
Loki ich to żart fryzjerów.
Pachną jak mój barwny groszek.

Piękne, przemijacie w biegu
By nie pojawić się więcej.
Wszystkie was w zorzach zazdrości
Zawiera me krzywe serce.

Szyby sine gdy wieczorem
Pociemnieją fioletem,
Czułe damy zasypiają
Stromo w żarowych lamp świetle.

Cień podwójny śpi na szybie
Pieszczot wzbogacony skrzydłem.
Ja, Otello jak trup żółty,
Ściskam w ręku starą brzytwę.

Wy w pełnym biegu, myślicie
Nieraz widząc mnie nad torem:
Nieciekawe przeżył życie
Ozdobiony semaforem.

Gorzka moja samotność,
Pociągi lecą jak ptaki.
Mam gazetę z przed tygodnia,
Okradam z owocu krzaki.

Bodaj to żyć w wielkim mieście.
Czy to życzenie się ziści?
Miliarderem być, żebrakiem?
Ach, dla innych żyć korzyści.

W Amsterdamie czy pod Tułą
Nocą patrzeć w żar komina.
Dajcie kotwicę! Ulatam,
Skradłem lampę Aladyna.

Kraty więzienia. Na kracie
Cierń pnącej róży się złości.
W kufrze fotografia ryża:
Wspomnienie nudnej młodości.

* * *

Jęczą żelaza kolei.
Krzyk ziemi dalekiej słyszę.
Długi mój cień w rogatywce
Nieodłącznym towarzyszem.

W słoju puchnie jarzębina,
Zielonkawa ikra sadu.
Upiję się sam jak szewc
Sam ze sobą będę gadał.

Lato głowę moją stroi,
Żałobę wiesza u czoła,
Opowiem głosem pijanym
O nieżywych przyjaciołach.

Wypełzły na twarz wypieki.
Jak kukła woskowa żyję.
Anioł gore martwym skrzydłem,
Zaśpiewa ciału requiem.

Zła nadziejo, przędzo krucha!
Pająkiem pnę się po nitce.
Kogut pieje. Ranek mglisty.
Czas przełożyć już zwrotnicę.

TADEUSZ BOROWSKI

ilustrował Kajetan Sosnowski

POŻEGNANIE Z MARIĄ

(Dokończenie)

URZĘDNICZKA w kantorze uśmiechnęła się do mnie zza stołu. Drobna i sucha umieściła się wygodnie na kozetce. Cały dzień czytała brukowe romanse. Nasłał ją Inżynier, aby pilnowała kasy. Z jego kalkulacji wynikało, że firma daje zbyt niskie dochody. W drugim tygodniu jej urzędowania zabrakło w kasie tysiąca złotych. Kierownik pokrył niedobór z własnej kieszeni, a Inżynier stracił do urzędniczki zaufanie. Do kantoru przychodziła zresztą na kilka godzin, nie zajrzała ani razu do magazynu, nie wiedziała co to lepik a co bitumina, ale za to z regularnością poczty zaopatrywała mnie w konspiracyjne gazetki, ozdobione godłem miecza i pługa. Zazdrościłem jej zejścia do podziemia, sam bowiem zadawalałem się półprywatnym powielaniem biuletynów, obfitą lekturą, pisywaniem wierszy i produkowaniem się na porankach poetyckich.

— Cóż z tą starą? Mebli dużo? — zagadnęła ironicznie urzędniczka. Głowę miała ustrojoną w czub wysoko spiętych, zmierzwionych niesfornie włosów.

— Każdy ratuje się jak może.

— Przy pomocy bliźnich — zmrużyła złośliwie oczy. Była bardzo niestarannie upudrowana. Cienki nos świecił się jak wyczyszczony łojem. — Ej, panie magazynierze, jakże wiersze? Okładka wyschła?

Kierownik za rękę przyprowadził starą do kantoru. Przyszedł furman, aby się ogrzać. Kucnął przy piecu i sapiąc, wystawił do ognia spękane od wiatru i mrozu dłonie. Kożuch parował na nim i śmierdział wilgotną skórą.

— Budy na mieście — rzekł woźnica. — Byłem w centrali. Na ulicach pusto, aż strach jechać. Mówią, że jak z Żydami skończą, to nas będą wywozić. I u nas też łapią. Koło cerkwi i przy dworcu aż zielono od żandarmów.

— A to ładnie — prychnęła mała urzędniczka. Wstała nerwowo od stołu. Włóczyła nogami obutymi w zbyt głębokich kapcach, kręcąc z nieświadomym wdziękiem kościstymi, przebijającymi przez cienką sukienczynę biodrami.

— Jakże ja wrócę do domu?

— Per pedes — rzekłem kwaśno i włożywszy pośpiesznie kurtkę, wyszedłem z kantoru. Ostry zimny wiatr zmieszany ze śniegiem zadął mi w twarz. Nad skrzynią z wapnem kiwał się rytmicznie robotnik. Przytupując z zimna nogami jak śpiący koń, mieszał gracą lasujące się wapno. Kłęby pary podnosiły się z nad kipiącej mieszaniny i owiewały mu twarz. Lasownik pracował całą zimę bez przerwy, szykując wapno na sezon letni. Dziennie przerabiał na mrozie do dwu tonn wapna suchego.

Bramę składu kierownik przymknął. Gdy łapanka obejmowała uliczkę, zamykaliśmy ją na kłódkę. Pijani policjanci oczyszczali ulicę z resztek tłumu, który przemykał się ku polom. Niemiecki żandarm obojętnie bił żelaznymi butami o bruk, wyższy nad tłum i jego troski, ale baczny na każdy ruch policjanta. Na placu pod ścianami domów było jeszcze gwarno i tłoczno. Pod oknami i parapetami przekupnie trzęśli kolanami, tupali nogami w słomianych chodakach i darli się ochryple nad koszykiem z bułkami, papierosami, kaszanką, paczkami, białym i razowym chlebem. Wydawało się, że to czarna ściana domu trzęsie się i krzyczy. W bramach ważono na prymitywnych wagach świeże mięso wieprzowe i przelewano pośpiesznie bimber. Na posesji leżącej na tyłach szkoły, trwała jeszcze zabawa. Karuzela z jednym ogłupiałym dzieckiem na koniu, kręciła się majestatycznie przy wtórze wrzaskliwej muzyki. Puste drewniane auta, rowery, łabędzie z rozczapierzonymi skrzydłami płynęły łagodnie w powietrzu, kołysząc się jak na fali. Robotnicy zakryci deskami chodzili pod karuzelą w kieracie. Przy jaskrawo pomalowanej strzelnicy i w ogrodzie zoologicznym pod namiotem (w którym — jak głosił wyblakły od śniegu plakat — miały przebywać krokodyl, wielbłąd i wilk) świeciło beznadziejnie pustką. Paru gazeciarzy ze schroniska z plikami gazet niemieckich pod pachą kręciło się niezdecydowanie na przystankach. Tramwaje bez ludzi okręcały się w pętli naokoło placu i dzwoniąc łańcuchami, wlokły się wzdłuż alei. Drzewa stały ośnieżone, skrzące się w ostrym słońcu, jak wyrzeźbione z łamliwego kryształu. Niebo leżało pogodne, blade, wysokie. Był zwykły targowy dzień.

W głębi ulicy przestrzeń zamykały kamienne bloki domów i kępy nagich wychudłych drzew. Za wiaduktem, chronionym kozłami hiszpańskimi, zasiekami i tablicami na torach, otoczony kordonem żandarmów falował tłum i podpływał ku wiaduktowi. Z wnętrza tłumu wynurzały się pękate, okryte brezentami ciężarówki i mierząc kołami śnieg, ciężko ciągnęły na most. Za ostatnim wozem wybiegła z tłumu kobieta. Nie zdążyła. Samochód nabrał szybkości. Kobieta podniosła ręce rozpaczliwym gestem i byłaby upadła, gdyby nie pomocne ramię żandarma. Wepchnął ją w tłum.

— Miłość, oczywiście, że miłość — pomyślałem ze wzruszeniem i uciekłem do składu, ponieważ plac pustoszał przed nadchodzącą łapanką.

— Telefonowała narzeczona — powiedział kierownik. Był w dobrym humorze, podśpiewywał pod rudym wąsem i zataczał nogami taneczne półkola. — Jedzie z Ochoty, ale nie może szybciej, bo wszędzie łapią. Pod wieczór będzie.

Sucha, czubata urzędniczka rzuciła na mnie krótkie, podszyte złośliwością spojrzenie.

— Pewnie zaczną z nami jak z Żydami? Pan się martwi?

— Powinna dać sobie radę — rzekłem do kierownika. Zziąbłem na kość. Pogrzebałem kociubą w piecu i dołożyłem toru. Z otwartych drzwiczek buchało dymem na całą izbę.

— Chyba w tym miesiącu wagonów nie dostaniemy? Pewnie zrobią sperre wagonową!

Kierownik skrzywił się niechętnie. Przysiadł na krześle i delikatnymi jak u pianisty palcami stukał po stole.

— A co nam przyjdzie z tego jak puszczą wagony? — rzekł z goryczą. — Inżynier boi się trzymać cementu i gipsu, wapno ma tylko dla Niemców na roboty na forcie Bema, to co pan chce? Żebyśmy kwitli? Grochowskie zakłady dostały trzy wagony cementu, Borowik i Srebrny ma co dusza zapragnie, a my co? Gąsiory, felcówki, grysiki, lepiki, maty trzcinowe!

— Niech pan nie przesadza — rzekła urzędniczka. — Gdyby pogrzebali w szopach, to by to i owo...

— Pewnie, że to i owo! Bo kombinuję na własną rękę! Inaczej przyszedłby kto do składu? Owszem, sklepikarz odważników pożyczyć!

Telefon zaterkotał. Kierownik zakręcił się na krześle i chwycił słuchawkę na pół sekundy przed małą urzędniczką. Oddał mi ją z niemą gestykulacją.

— Nasz samochód — szepnąłem, zasłaniając ręką tubę. — Co powiedzieć?

— Niech da pięćdziesiąt.

— Fünfzig — rzekłem do tuby. — Abends? Niech będzie wieczorem.

— Świetnie, chodźmy wobec tego coś zjeść — zatarł ręce kierownik.

Stara siedziała nieporuszona na tapczanie jak zapędzone w kąt zwierzę. Kierownik zakrzątnął się po pokoju, nastawił bulion na maszynce i sprzątnął stolik.

— Jak Inżynier będzie miał mniej dochodu od nas, to raz — wyrzuci tę siksę, a dwa... No co, zdecydowałeś się pan?

— Cóż ja mam wobec pana? — rzekłem beznadziejnie. — Wszystko wpakowaliśmy w bimber. Wie pan jak to jest: trochę książek się kupiło, trochę łachów i tak. Papier też kosztował.

— A sprzeda chociaż pan te wiersze?

— Nie wiem, czy sprzedam. Nie pisałem na sprzedaż. To nie cegła dziurawka ani nie smoła — odparłem urażony.

— Jeżeli dobre, to powinni kupować — rzekł ugodowo kierownik zagryzając bułkę. — Zbierzesz pan te parę tysięcy do spółki. Pan masz dobry łeb. Stara zajadała powoli ale z apetytem. Złoty masywny rząd zębów z lubością zanurzał się w miększu bułki. Wpatrywałem się w ich połysk, oceniając instynktownie wagę i wartość całej szczęki.

Trzasnęły drzwi, wszedł klient. Paliotyn z sąsiedniego kościółka miał rogowe okulary i uśmiechał się nieśmiało. Powiadomiwszy o łapance, zamówił parę worków cementu oraz żółty grysik. Zapłacił z góry samymi złotówkami powiązanymi w paczki.

— Niech będzie pochwalony — rzekł i nałożywszy czarny kapelusz, wyszedł szeleszcząc sutanną.

— Na wieki wieków — odparła urzędniczka. Zakręciła piec i wytarła palce w skrawek gazety. — Jak pan myśli, co ta stara zrobi?

— Kierownik znajdzie dla niej mieszkanie. Stara ma grubą forsę, żeby ją puścił z rąk — rzekłem półgłosem.

— Ale — prychnęła pogardliwie — więc pan nic nie wie? Kiedy kierownik wyszedł, stara telefonowała do córki. Nie mogą wyjść z ghetta. Już za późno. Sperra na całego.

— Stara pomartwi się trochę i przestanie.

— Bardzo być może — rzekła mała urzędniczka.

Otuliła się w wytarte futro, umieściła się wygodniej na kozetce i powróciła do książki. Nie zdradzała ochoty do dalszej konwersacji.

III.

Wieczorami zostawałem w składzie sam wśród suszących się jak mokra bielizna okładek tomu poetyckiego. Apoloniusz wyciął je z papieru pakowego w formacie in folio, dopasowawszy do rozmiarów siatki ręcznego powielacza, który wypożyczony mi do odbijania niezmiernie cennych komunikatów radiowych i wartościowych rad (wraz z wykresami) jak prowadzić walki uliczne w większych miastach, posłużył również do druku wzniośle metafizycznych heksametrów, wyrażających mój nieprzychylny stosunek do dmącego apokaliptycznie wiatru dziejów. Okładka była dwustronnie ozdobiona czarno - białymi winietami przy użyciu rewelacyjnie nowej techniki powielaczowej: pojedyńczych kawałków matrycy białkowej, które nalepione na siatkę dawały białe plamy, sama zaś siatka — plamy czarne. Sposób był bardzo pomysłowy, ale pochłaniał zbyt wiele farby i okładki schły już tydzień — bez rezultatu. Zdjąłem je więc ostrożnie ze sznurów i obłożywszy w gruby pergamin zapakowałem ciasno i wsadziłem pod drewniany tapczan. Spuszczony do podłogi koc zakrywał zepsute radio, oczekujące na mechanika, walizeczkowy powielacz, płaski jak cygarnica, solidną maszynę do pisania Remington, zabraną z szopy, aby nie zamokła oraz komplet publikacji pewnej organizacji imperialistycznej, pozostawiony w składzie na przechowanie przez przyjaciela, który musiał wynosić się z domu, a nie miał siły pozbyć się kolekcjonerskich i antykwariackich zamiłowań.

Wieczorami także, nie żałując grzbietu ani kolan szorowałem pracowicie podłogę, wycierałem stół i jako tako okno, a kiedy uznałem, że w pokoiku jest zacisznie i przytulnie jak w uchu, przykrywałem seledynowym kocem jarzący się grzybek i zamykałem troskliwie pokój, aby nabrał ciepła. Siadywałem zazwyczaj przy piecu w kantorze. Robiłem drobiazgowe notatki bibliograficzne, którymi wypychałem specjalne pudła, zapisywałem na luźnych karteczkach sentencje i trafne aforyzmy, które znalazłem w książkach i uczyłem się ich na pamięć. Tymczasem nadchodził zmierzch i zaprószał karty książki. Podnosiłem oczy ku drzwiom i czekałem na przyjście Marii.

Za oknem śnieg tracił błękit, mieszając się ze zmierzchem jak z szarym cementem. Wyniosła ściana spalonego domu, zrudziała jak wilgotna cegła, nabiegała czernią, nieruchomiała, jakby milkła. Nierealny, bezgłośny wiatr podnosił z nad torów kłęby różowego dymu, rwał je na strzępy i rzucał na siniejące niebiosa jak płatki śniegu na przezroczystą wodę. Zwykłe przedmioty, grząska jak zgniły melon góra piasku firmowego, kręta ścieżka, brama, trotuary, mury i domy ulicy nikły w mroku jak we wzbierającym przypływie. Zostawał tylko nieuchwytny szum, którym tętni najgłębsza cisza, gorący puls, którym bije ciało człowieka i głucha tęsknota do przedmiotów i odczuć, których człowiek nigdy nie zazna.

Na podwórzu krzątali się jeszcze ludzie. Woźnica wynosił z ciemnego wnętrza szopy pakunki jak z worka i ciskał je z rozmachem na platformę. Na platformie stary lasownik stał z rozkraczonymi nogami. Chwytał ze stękaniem bagaż i ubijał go fachowo na wozie jakby układał torby gipsu albo hydratyzowanego wapna. Z wysiłku wypchnął językiem policzek.

Kierownik stał za wozem przy starej. Uchwycił się deski przy wozie i paznokciem bezmyślnie odłupywał drzazgę.

— Ja tam nie wiem, jestem inaczej nauczony — rzekł do starej gniewnie wydymając wargi. — Ale na mój rozum nie należało tak od razu. Gdzie tu głowa? Gdzie rozum? Poco był ten cały kłopot?

Stara przechyliła na ramię głowę w kapeluszu z kwiatkami. Na ziemistych policzkach dostała od mrozu buraczanych wypieków. Wargi jej drżały z zimna. Złote zęby błyszczały zza warg.

— Niech bardzo uważa przy pakowaniu — powiedziała ostro do lasownika. Twarz jej drgała przy każdym ciskanym pakunku, jakby to ją rzucano na platformę. — Niech Jasio wybaczy, że mu sprawiłam kłopot. Jasiowi się przecież opłaciło, prawda?

— Co tam pani doktorowa ma myśleć — rzekł kierownik wzruszając ramionami.

— Pieniądze, co je wziąłem, to dałem na mieszkanie, a tych parę ciuchów, które pani doktorowa zostawiła u mnie, to zawsze można... Ja tam się od tego nie wzbogacę.

Zgarbiona pod szarą ścianą szopy stara przebierała z zimna nogami w wytartych, przydeptanych pantofelkach, pociągała nosem i zwyczajem krótkowidzów mrugając nerwowo zaczerwienionymi powiekami, patrzyła na kierownika oczyma załzawionymi i ciemnymi od nieba. Milczała i uśmiechała się.

— Dużo ich tam pani doktorowa obroni. I tak i tak giemza — mówił dalej kierownik patrząc w ziemię na szprychy koła i na błoto pod kołami. — Co pani doktorowa nie wie, jak będzie? Zabiją, spalą, zniszczą, stratują i tyle. Nie lepiej żyć? Ja tam wierzę, że przyjdzie taki czas, kiedy człowiekowi pozwolą spokojnie handlować.

Potężny Diesel z przyczepką wtoczył się w ulicę, plując dymem i podjechał pod bramę. Kierownik uśmiechnął się z ulgą i pośpieszył otwierać drugą szopę, ja zaś poskoczyłem prosto przez śnieg do bramy. Traktor wepchnął się zadem na przeciwległy chodnik, i jak żuk wypełznąwszy przez rynsztok na podwórze, podjechał pod roztwartą szopę. Z szoferki wyskoczył kierowca w brudnym kombinezonie i niemieckiej furażerce, zawadiacko osadzonej na kruczych, lśniących włosach.

— Abend. Pięćdziesiąt? — zapytał i plasnąwszy nas z rozmachem w ręce, wszedł kołysząc się biodrami do szopy. Rozejrzał się z zainteresowaniem po kątach.

— O la, la! Wyprzedaliście wszystko? — rzekł, cmoknąwszy ustami. — Duży obrót, duży zysk. Ale teraz o dziesięć złotych drożej na worku. Po trzydzieści pięć?

— Ten numer nie przejdzie — rzekł kierownik, rozkładając ręce wymownym gestem.

— Trzydzieści dwa. Na rynku jest pięćdziesiąt pięć i drożej — powiedział żołnierz bez zniecierpliwienia.

— Ma on ludzi do wyładowania? — zapytał mnie kierownik. — Trzeba brać.

— Keine Leute — roześmiał się szeroko żołnierz. Miał zdrowe końskie zęby, i błyszczące starannie wygolone policzki. Podszedł do przyczepki i rozsznurowawszy plandekę, zakomenderował:

— Mein Herrn, raus! Proszę was bardzo— ausladen!

Dwaj drzemiący na workach cementu robotnicy odrzucili palta, którymi się przykrywali, wyskoczyli przerażeni krzykiem z głębi auta i opuścili pokrywę. Jeden wytaczał torby na krawędź podłogi; drugi chwytał je rękoma i przyciskając płaski worek do piersi, niósł do magazynu i rzucał z trzaskiem na podłogę. Wyjaśniłem mu jak należy układać cement, wiążąc worki, aby sterta nie przewaliła się k'czortu.

Drzemiący w szoferce pomagier kierowcy wychylił się z okienka.

— Oni mają się śpieszyć, Peter. Musimy zaraz dalej.

Podparł się łokciami i patrzył sennie w głąb szopy. Złota damska bransoleta luźno zwisała na przegubie. Dłonie miał owłosione, twarz smagłą, czarną od zarostu.

— Prędzej, prędzej, du alte Slavine — mruczał przez zęby. Napotkawszy moje badawcze spojrzenie, uśmiechnął się przyjaźnie.

W szopie omaczony cementem robotnik (jak kto nie umie obchodzić się z towarem, to zawsze przy przenoszeniu porwie parę worków i narobi szkody), podniósł ku mnie srebrzystą, unurzaną w cemencie twarz i zapytał szeptem, udając, że wierzchem dłoni ociera oczy:

— Jest pięć worków więcej. Weźmie pan dzisiaj?

— Po dwadzieścia — mruknąłem, nieruszając wargami. — Komm do kantoru. Obliczymy się — rzekłem do żołnierza. Zgasił zapałkę, przydepnął troskliwie podeszwą. Zaciągnął się z ochotą dymem. Nikły, różowy blask rozjaśnił mu policzki i odbił się w oczach.

— Fünfzig sztuk! Pięćdziesiąt — pokazał robotnikowi pięć rozczapierzonych palców.

— Ja, ja, chef, ja liczę! Ani jednego więcej! — wykrzyknął gorliwie podawacz spod plandeki.

Furman kończył ładować wóz. Lasownik dobijał bagaż i podciągał sznury.

Oszmurował platformę troskliwie jak paczkę ze szkłem. Znali się na pakowaniu. Ukryli w środku rzeczy cenniejsze: skórzane walizy i brezentowe worki z bielizną. Na wierzch zaś i po bokach dali plecione kosze: stołki i klekocące naczynia. Platforma stała cierpliwie jak arka. Stara dreptała pod szopą trzymając ręce w mufce. Ujrzawszy przechodzącego zbliska żołnierza, przestraszyła się i skryła za drzwi magazynu.

— Przeprowadzka? — zapytał mimochodem szofer.

— Przeprowadzka, oczywiście, że przeprowadzka, a cóżby innego?

Niebo ścieśniało się, osiadało nad mrokiem bezszelestnie jak opadający ptak. Bezlistne drzewo nad torem szamotało się z wiatrem zaciekle, jak człowiek, który postanowił się nie dać.

Wy ale żyjecie spokojnie — rzekł z dobroduszną pogardą żołnierz. — A nasi walczą za wasz spokój.

Kierownik poprosił siadać. Rozmawiał przez telefon z żoną.

— Wiec udał się obiad, czy nie? Buraczki, nie. Weź kapustę. — Uśmiechnął się wyrozumiale. — Dzieciak? Śpi? Obudź go, już śpi dwie godziny.

— Książek przybyło, co? — rzekł żołnierz, uchyliwszy drzwi do pokoju.

— O, jaki nastrój! Tylko patéfon nastawić! Panienka, co panienka? — Pokazał palcem na czerwony szlafrok na wieszaku. Obejrzał obrazy Apoloniusza żebraczkę pod chropawym murem trzymającym za raczkę dziecko z wyłupiastymi oczma oraz martwą naturę z żółtym dzbankiem. Naniósł do pokoju błota i smrodu żołnierskiego.

Kierownik wydobył z portfelu paczkę starannie powiązanych banknotów i przeliczywszy modlitewnym szepłem, podał szoferowi.

— Znowu środa, następny tydzień, ja? — zapytał szofer.

— Ist gut — rzekł kierownik — ist sehr gut. Widzi pan, panie Tadziku, gdyby człowiek miał własny skład, toby się nie krył z towarem. Przetrzymałby parę dni, zarobek pewny.

— Urzędniczka zaraz poleci do inżyniera.

— Nie uwierzy, jak nic nie znajdzie. Odstąpimy od ręki czerniakowskim zakładom. Ale i tak, inżynier musi być dobrze z nami. Wpakował forsę w bocznicę i robi bokami — powiedział chełpliwie kierownk.

— Kombinuj pan, kupić tę budę. Ja, co będę miał dołożę.

— A jak zupełnie zabronią budować?

— Teraz też zabraniają, a ludzie budują. Wyżyć to pan wyżyje z tego, co pan ma w szufladzie. Piec i szopy zostaną na po wojnie. Jak znalazł. No, widzi pan, chodźmy odprowadzić starą.

— Zapomniała maszyny u pana — powiedział kierownik. Odczesał dłonią włosy i z pewną elegancją nałożył czapkę tramwajarską. Na ulicy udawał tramwajarza. Jeździł za darmo tramwajami i czuł się bezpiecznym przed łapanką.

— Maszyna przydą się firmie.

— Ja, ist gut. — Żołnierz przeliczył pieniądze, schował je do kieszeni kombinezonu i uścisnąwszy nam serdecznie ale nie wylewnie dłoń, wyszedł chrzęszcząc butami.

Furman odjął koniowi worek z obrokiem. Zapalił latarnię, podczepił ją pod wozem, zebrał w dłonie lejce, cmoknął uroczyście i platforma, oświetlona pełgającym krwawo blaskiem jak karnawałowy pojazd, ruszyła skrzypiąc za bramę, zanurzyła się w ulicę jak w ocieniona aleję.

Między purpurową jak spieczone usta kołdrą, ściągniętą białym sznurkiem od firanki a pękatymi walizami, zwinięta w kłębek jak pies siedziała, podkuliwszy pod siebie nogi, stara żydówka, nakryta z góry blatem ukośnie przechylonego stołu, którego nogi, niczym martwe kikuty sterczały ku niebu i podskakując wraz z blatem za każdym poruszeniem wozu, zdawały się mściwie mu wygrażać. Stara miała oczy zamknięte, głowę wtuliła w futrzany kołnierz. Najwidoczniej drzemała. Parę obdartych dzieciaków pobiegło za platformą w nadziei, że da się coś ukraść.

Ulica ożywała wieczorem. Na granatowym niebie złoty księżyc toczył się naprzeciw pierzastym obłokom jak krążek ananasu i metalicznym blaskiem opadał na dachy ulicy, w załomy murów, na chrzęszczący jak srebrna blacha śnieg trotuaru. Panny z pralni przesuwały się pod fioletową latarnią i znikały w cieniu spalonego domu. Od sklepikarza wychodzili podochoceni policjanci na służbę nocną. Dzwonek w odnawianym naszym cementem i wapnem kościołku poczynał świegotać radośnie jak bawiące się dziecko, płosząc uśpione na parapecie dzwonnicy gołębie, które z łopotem skrzydeł wzbijały się nad wieże i jak płaty chryzantem sennie osuwały się na dach.

Traktor z cementem ostrożnie wyminął doły na wapno i zatrąbiwszy na pożegnanie, opuścił podwórze. Doskoczyłem do przyczepki i wsadziłem pieniądze w wyciągniętą rękę robotnika.

—Dziesięć było, dziesięć! — krzyknął. Płandeka zakryła się za nim.

— Obłatwiliśmy dzień — rzekł kierownik, przepasując rzemieniem tramwajarski płaszcz. Ściągnął pas rzetelnie, na siłę, gdyż lubił wydawać się szczupłym. — Zostajesz pan sam. Coś narzeczona nie przyjeżdża?

— Boję się o nią — odpowiedziałem — łapanka trwa cały dzień. Musieli sporo nałapać.

— Co robić — westchnął ciężko kierownik. Narzeczona pewno nie może się dostać do pana. Włożył do teczki kawał mięsa, które wybrał na jutrzejszy obiad.

— Czekaj pan, pójdę coś kupić na kolację. Jeść się chce po tym głupim dniu. Wyszliśmy na ulicę zatrzaskując furtkę. Niemiecki traktor zamykał wylot ulicy, trzasł się i dymił. Przechodnie gromadzili się na chodniku i patrzyli na plac. Przy rynsztoku stała platforma z betami. Woźnica cierpliwie czekał na wolny przejazd.

Wieczór zapadał coraz głębszy. Za czarnym pasem pola nad srebrnym nurtem rzeki kamienny most napinał się na tle nieba jak łuk. Na drugim brzegu czarna bryła miasta zapadała w grząską ciemność. Nad nią wysokie słupy reflektorów wzbijały się rtęciowym światłem w niebo przekreślały je i jak ramiona marionetek bezwładnie opadały wzdłuż ziemi. Świat na chwilę zwężał się do jednej ulicy, tętniącej jak otwarta żyła.

Z chrzęstem, przy pełnych reflektorach waliły jezdnią wypchane ludźmi ciężarówki, przewalając się na wybojach. Twarze ludzi ukazywały się spod brezentu białe jakby posypane mąką i jak zdmuchnięte wiatrem znikły w ciemności. Motocykle, obsadzone żołnierzami w hełmach, wynurzały się spod wiaduktu i trzepocąc skrzydłami cienia jak potworne motyle, znikały z hukiem za samochodami. Duszący dym spalinowych motorów słał się na jezdni. Kolumna szła w stronę mostu.

— Nałapali pod cerkwią — rzekł za mną sklepikarz. Położył mi ciężko ręce na ramionach. Biło od niego odorem wódki i śmierdziało machorką. — Żeby ich ziemia pochłonęła.

— Zabierają się do nas — rzekł ponuro policjant z paskiem zapiętym służbowo pod brodą. Zdjął czapkę i otarł czoło rękawem. Czerwona pręga, odciśnięta na łysinie przez czapkę, bielała na chłodzie. Dodał przez zęby — ano, tak.

— Ta żydówka wyprowadza się od was? — szepnął konfidencjonalnie sklepikarz.

— Tak szybko?

—Wyprowadza się gdzie indziej.

— To co będzie z mieszkaniem? — zaniepokoił się sklepikarz. Nachylił się do ucha. — Ja już z ludźmi gadałem. Pan kierownik miał dzisiaj dać zadatek.

— To szukaj pan kierownika — powiedziałem niecierpliwie i otrząsnąłem jego łapę.

— Przepraszam — szepnął sklepikarz. Światło reflektora przejechało po jego twarzy. Zamrugał powiekami odpędzając się od blasku. Reflektor oświetlił wnętrze ulicy, twarz sklepikarza oblekła się w mrok.

— Ona wraca do ghetta. Ma tam córkę, która nie może się wydostać.

— No pewno — rzekł z przekonaniem sklepikarz. — Przynajmniej umrze z nią jak człowiek... — westchnął ciężko i zapatrzył się w ulicę.

Na zakręcie alei powstał zator. Kolumna zatrzymała się, samochody zbliżyły się do siebie. Padły gardłowe nawoływania. Motocykle wytoczyły się zza aut i reflektorami poczęły obmacywać jezdnię, trotuar i tłum. Reflektory prześlizgnęły się i po twarzach ludzkich jak po zbielałych kościach; zajrzały w czarne, ślepe okna mieszkań; ogarnęły jarzącą się zielonymi lampionami zatrzymaną w pół taktu karuzelę z chwiejącymi się na linach pstrokatymi końmi na biegunach, łabędziami o łagodnie wygiętych szyjach, drewnianymi autami, rowerami; pomacały głąb placu końskiego; otarły się o namiot ogrodu zoologicznego z krokodylem, wilkiem i wielbłądem; zbadały wnętrze tramwajów, stojących ze zgaszonymi światłami; zawahały się na lewo i na prawo jak głowa rozdrażnionego węża; powróciły do ludzi, oślepiły jeszcze raz oczy i skierowały się na auta.

Twarz Marii, otoczona szerokim rondem czarnego kapelusza, była biała jak wapno. Trupio blade, kredowe dłonie podniosła spazmatycznie ku piersiom jak w geście pożegnania. Stała w aucie, wciśnięta w tłum, tuż przy żandarmie. Patrzyła z natężeniem w moją twarz, prosto w reflektor jak ślepa.. Poruszała wargami jakby chciała zawołać. Zachwiała się omal nie upadła. Samochód zatrząsł się, zawarczał i nagle szarpnął. Nie wiedziałem zupełnie co robić.

Jak się później dowiedziałem, Marię jako aryjsko - semickiego mischlinga wywieziono wraz z transportem żydowskim do osławionego obozu nad morzem, zagazowano w komorze krematoryjnej, a ciało jej przerobiono zapewne na mydło.

Tadeusz Borowski

STEFAN OTWINOWSKI

TRZY RAZY ŁZY

(Nowela polemiczna)

CHODZĘ jednak do kawiarni codziennie. W tym mieście także. Miasto jest inne. Ale przyzwyczajenie to samo. Wkładam około szóstej palto jesienne, biorę laskę i nie mogę się powstrzymać, żeby nie gwizdnąć na pieska. Na pieska, którego już nie ma. Zginął w strasznych okolicznościach. Gdyby się ludzie dowiedzieli, w jakich okolicznościach zginął mój piesek, byłoby bardzo niedobrze. Nie można o tym mówić... Ze strachem myślę tylko o tym. Wywołując obrazy ostrożnie, miarkując, żeby granica nie została przekroczona. Nie dobrze jest nawet przed samym sobą przyznawać rozczulenu granice nieokreślone. A naród nasz gubi się w sentymentaliźmie bezgranicznym...

Ile razy idę ulicami tego miasta, myślę właśnie o tym. O wadach narodu, przyznającego uczuciu większe prawa, aniżeli myśli i organizacji. Ale i uczucia też są rozmaite: wyższego i niższego rzędu. Najniżej oceniam sentymentalizm i bałwochwalczy stosunek do zwierząt domowych. Chociaż i we mnie ta ostatnia sprawa nie jest istotnie ani przezwyciężona, ani skrystalizowana. Od dawna w miejscu, gdzieśmy osiedli, zwierzęta odgrywały olbrzymią rolę i, gdyby można się tak wyrazić, należały do grona rodzinnego. Lud nasz opłakuje stratę stworzenia czasami z większą ekstazą, aniżeli gdyby żalił się nad stratą członka rodziny. Od prareligii naszej wywodzi się ten kult. Instynkty zmysłowe nie decydują o nim. Dlatego jest groźny. Groźniejszy od sentymentalizmu namiętnego... Nie, nie można ludziom naszym opowiadać wydarzeń podobnych do mojego. Z moim kochanym psem. Nie można roztkliwiać narodu, który w sztuce zdobył się na jedną genialną kontynuację: uzmysłowił innym narodom piękno, serdeczne piękno konia, psa oraz kolęd. Inne czekają nas zadania. I to czekają — dosłownie od lat.

Ile razy przechodzę ulicami tego starego miasta, tyle razy myślę: miasto nie zniszczone, a tyle do roboty. Cywilizacja nie ma nic wspólnego z kultem dla zwierząt. Nasi wspaniali pisarze i malarze w niczym się nie przyczynili do postępu, malując zwierzęta domowe w sposób pociągający. Sentymentaliści prasłowiańscy. Cywilizacja poszła inną drogą. Jesteśmy narodem dziwaków naturalistów. Albo wschody słońca i bory jodłowe? Płakać się chce — podwójnie: prawdziwie i szyderczo.

W kawiarni przez chwilę odczuwam brak mojego pieska. Chwilę — przy każdej bytności. W tamtym mieście siadywał przy mnie na kanapce i rozglądał się po lokalu z miną bywalca. Był bywalcem tak samo, jak ja. Chodziliśmy codziennie, wyłączając wielkie święta. W święta kawiarnie były zamknięte, więc pies spał na moim tapczanie, a ja patrzałem w okno.

Teraz też patrzę w okno. Z kawiarni widać starożytny rynek, ładną architekturę i ludzi, pnących się do wolności systemem innym, niż wśród narodów cywilizacji społecznych. Ludzie spacerujący po chodniku obok okien kawiarni uprawiają proceder raczej haniebny. Z pominięciem urządzeń kontrolowanych, chcą spowodować ruch handlowy według własnych ambicji. Są już teraz mniejszością nie pozbawioną także aspiracji szerszych. Czasami przychodzą do kawiarni, gdy przedmiotem tranzakcji są walory naprawdę grube.

Nie interesują mnie te tranzakcje. Ale psychologia ambitnych spekulantów jest mi znana. U dna jej znajduje się często wzorowy sentymentalizm. Ryzykują dla awansu dzieci czy domu. W domu mają psa. Na ścianach, jeśli interes się uda, zawiśnie jeszcze jeden przedmiot kultu bardzo dawnego. Napewno — koń. Ale są i tacy, których myśli zmierzają po szlaku naprawdę śmiałym. I oni widzą braki naszej cywilizacji. I oni zauważają brak wiązań w naszej historii. Która przecież nie mogła się wyrzec zupełnie rytmu techniczne go. I oni widzą, że przez rynek miasta rzadko tylko przeleci wóz właśnie mechaniczny. I wtedy marzą — podobnie jak ja: ruszyć.

Tak się i tu nawet mści sentymentalizm naszej kultury. Jesteśmy narodem psychologicznie przeżywającym każdą wartość. Dla tego, myśląc nawet o postępie, potrafimy się cofać. Przyszłość zdobywa się gromadnie bez wiary w jedyność własnego domu. Skoro usłyszymy skowyt psa, pozostałego w domu, tęskniącego, odechciewa nam się dalszej podróży. Czuję, że mam rację — mimo, że pomyliłem wątki. Ale to też przez sentymentalizm, który zwalczam z pasją człowieka wychowanego w kulturze sentymentalnej.

Gdybym miał metodę naprawdę organizującą — udałoby mi się napewno w sposób godny oddać historię śmierci mego psa, nie naruszając prawideł przyzwoitości humanistycznej. A tak — co? Opowiadanie zmieniło bieg; zamiast ujawnić ciekawie świat obiektywny, przyznałem się mimowoli ,że nie przedstawiam — lecz piszę. Personalizm — zamiast cywilizowanego realizmu. Który to realizm pochwalam wszelką wolą człowieka, wykształconego oraz przeciwnika tradycyjnych emocji.

* * *

O szóstej napływa do kawiarni publiczność bezinteresowna. Ludzie — podobnie jak ja — dla wypicia czarnej kawy, dla odpoczynku, planowania. Planowania tych spraw, których się nigdy nie wypełnia. Marzyciele. Piękne kobiety przychodzą też dla celów równie idealnych, chociaż innych. Lubię gdy przychodzi jedna z nich. Wiem jak się nazywa, mąż jej jest zdolnym architektem, znam go nawet osobiście. Ale żony z przyczyn marzycielskich poznać nie chcę. To mi wolno. Chociaż takie zjawisko jest we mnie społecznie podejrzane. Człowiek naprawdę towarzyski nie powinien zwlekać, nawet jeśli by sprawa w odczuciach groziła romansem. Cywilizacyjnie romans jest mniejszym złem od erotyzmu romantycznego jednostki. Ale nie przesadzajmy. To mi wolno. A więc cieszę się, ile razy przyjdzie sama. I nawet bawi mnie to, kiedy udaje, że mnie nie widzi. Znowu z jej strony śmieszna gra psychologiczna. Pije kawę, pogryza drobne, suche ciasteczka. Naogół, gdy mnie spotrze że, siada tyłem. Niezupełnie. Mogę widzieć nawet trochę twarzy. Jest to naprawdę ładna twarz. Widzę. Natomiast ona jest konsekwentna w tym, żeby mnie nie widzieć. Nawet w chwili odejścia. Gdy postać moja znajduje się na tle lustra, spostrzeże raczej swoje odbicie w lustrze, aniżeli mnie. Jeśli kobieta stosuje aż taką negację, znaczy się, że jest usposobiona pozytywnie. Ale ja się nie spieszę. Mam czas. I dobrze mi z tym czasem. Zwłaszcza, kiedy wyjdzie. Jest mi wtedy tak bliska, tak oczywista w czułości do mnie. Skąd? Wszystko z przyczyn marzycielstwa. I właśnie wtedy tonę w nim kompromitująco. Gdyby wróciła kiedy, powiedzieć bym jej musiał historię mego psa, której nikomu nie powiedziałem. Mimo, że nurtuje mnie smak tej historii — literacki — od przeszło dwóch lat.

Mówiąc o sentymentaliźmie wyróżniłem jego przebieg płaski, którego motywować nie trzeba, oraz tradycyjny — w stosunku do zwierząt domowych, a zaznaczający się wyraźnie w kulturze jako konsekwentny model sztuki. O kolędach nie powiedziałem nic. Ale i to jest oczywiste. Wzruszamy się śpiewem na pół religijnym, na pół ludowym. Rytmy te przechodzą nawet do muzyki artystycznej. Czując je w niej wzruszamy się źródłem. Nie dobrze.

Najgorzej mi jest bez mojego psa w czasie Świąt Bożego Narodzenia. Już dwa razy płakałem. Mimo, że od chwili owej straty mogę się uważać za człowieka naprawdę postępowego.

Początkowo nie sam chodziłem do tej kawiarni. Towarzyszył mi zawsze pan Władysław F. Bardzo miły, starszy człowiek. Z zawodu prawnik, ale uprawiał raczej muzykę — i to nawet tylko jej teorię. Przeważały w tej teorii zamiłowania historyczne. Lubiłem słuchać tej historii. Muzyka jest stara jak odruch ludzki. Ale i zwierzęta reagują na muzykę — fascynuje je prąd drgania, który jest fizykalnym odpowiednikiem tonu. Człowiek nie odczuwa już prądu rytmicznego ponieważ potrafi obcować z jego kształtem.

Forma doskonali zawsze treści nie tylko fizykalne i nie tylko fizjologiczne, ale dziś psychologiczne, jutro socjalne. Bo nieprawda, że wszystko kończy się na człowieku, jak na wartości ostatecznej. Funkcje międzyludzkie są sprawami istotniejszymi od przeżyć indywidualnych. Znowu coś przeinaczam. Tym razem myśli i wykłady Pana Władysława. To był naprawdę twórczo myślący człowiek. Czasami brak mi jego obecności. Brak do stopnia: zwierzeń. Nie, nie pani K. lecz właśnie jemu powiedziałbym rzecz, która ma mimo wszystko właściwości sentymentalne. Historię, ostatnią historię mego psa.

Przed kilku dniami powiedział mi ktoś, znający się na teorii muzyki, że zasługi p. Władysława dla tej właśnie sprawy są minimalne, że był właściwie gawędziarzem, a z naukowego punktu widzenia: dywagantem. Może. Ale dla mnie zostanie zawsze drogi. To mi wolno. Nie jest to sentymentalizm płaski. Zżyłem się z człowiekiem w czasie gdy produkował bądź co bądź myśli, a nie westchnienia. Te tony i prądy zatrącały naukowym mistycyzmem, ale rodziły się w głowie człowieka oddanego sprawie. Tym gorzej dla sprawy, powiedziałby mój adwersarz. Tak. Ale, gdzie jest powiedziane, że peryferyjne prawo przyjaźni musi być obce imprezom dywagacyjnym? Nie czytałem nigdy dzieł pana Władysława. Nie na wszystkie sprawy tego świata trzeba mieć naukowe spojrzenie. To mi wolno. Ludzie, którzy chcą być uniwersalni — są tylko dyletantami. Lepiej być dyletantem cząstkowym i świadomym swego dyletantyzmu.

Bez pana Władysława kawiarnia jest dla mnie trochę, jak bez serca. Są dni, kiedy mógłbym o niej powiedzieć, że straszy pustką. Jest to oczywiście powiedzenie metaforyczne, gdyż kawiarnia w godzinach wieczornych nawiedzana jest tłumnie. Lubię i więcej — cenię ten zwyczaj kulturalny. Ludzie przychodzą odpocząć, pomyśleć, obserwować. Oczywiście jeśli siedzą samotni. Tak ja teraz. Naogół jednak ludzie przychodzą tu rozmawiać. I nawet czasami — nie podejrzewałbym — rozmawiają uczenie. Gawędziarzy, zbliżonych ambicjami czy sympatiami do nauki, jest dużo. Przysłuchuję się: sposób pana Władysława nie był bynajmniej wyjątkowy. Tylko — dlaczego skoro tyle ludzi u nas myśli i rozmawia z rozsądkiem, tak mało racjonalnego działania? Myślę: jedna z przyczyn tego nieporządku tkwi w tym, że nawet ludzie sposobem myślenia zbliżeni do cywilizacji w sprawach kultury ogólnej dają się powodować artystom, uprawiającym kult konia, polowania oraz kolęd tradycyjnych.

Jeśli chodzi o mnie — to i ja po skończeniu studiów ekonomicznych myślałem o plastyce. Chciałem malować pejzaże górskie z kozicami na szczytach. Pomiarkowałem się w porę. A nawet, kiedy dyskutowano publicznie sprawę cywilizowania gór — opowiedziałem się otwarcie przeciw naturze. To było moje pierwsze wystąpienie publicystyczne w duchu postępu. Nie czas żałować szarotek gdy naród się cofa. Kanapa, na której siadywaliśmy z Panem Władysławem stoi czasami pusta. Lubię ten widok. Nie sprzeciwia się gustowi człowieka uczonego. Bo żałość moja po stracie przyjaciela jest smutkiem ludzkim. Humanista znalazłby jej podstawę. Nie sprzeciwiającą się postępowi. Przyjaźń jest komórką organizmu, który w całości nazywa się społeczeństwem. Jest więc parantelą napewno socjalną. Co innego kult zwierząt — tego żaden system nie usprawiedliwi. Dlatego nie wiem, jak skończyć rachunek swojej samotności. Nie jest nigdzie powiedziane, że powinienem mieć żonę i dzieci. Nawet przeciwnie, — gdyż jestem chorowity. Pies wypełniał mi chwilę wolną od pracy naukowo organizacyjnej, od przyjaźni, od rozmyślań...

Dziś biesiaduję w kawiarni zupełnie sam. Rozmyślania łączę z potrzebami dawnej przyjaźni, wspominam także psa, który zresztą nie miał już nic wspólnego z naturą. Był — mówili o nim — mądry po ludzku. Instynktu nie miał. To go zresztą zgubiło..

Siedząc samotnie w kawiarni, biorę czasami kartki papieru i notuję myśli. Nie jest to literatura. Raczej publicystyka. Jak zostałem człowiekiem naprawdę postępowym? Możnaby niektóre myśli wydrukować — nawet dla dobra nauki. Nauki, którą uprawiam zawodowo, porządnie, organizacyjnie. Jestem z zawodu statystykiem. Kontrolerem przemian socjalnych.

Ów dzień był charakterystycznym wyrazem subordynacji społecznej. Niech nikt nie szuka w nim pierwiastków sentymentalnych. Działanie było taktem — nie obrazami. Wytłumaczyłem się chyba dostatecznie. Działo się to w okresie wielkiej próby narodowej. Ginęło miasto — dom po domu. Dom nasz był w szeregu innych. Obserwowałem kolejność i konsekwencje zbrodni. Zbrodni zorganizowanej tak precyzyjnie, że mój umysł, przyzwyczajony do obserwowania kolejności i cyfr, mógł prawie spokojnie kalkulować obronę dla własnego ciała.

W ostatniej chwili uciekliśmy z domu do dzielnicy sąsiedniej, małej, ubocznej. W tej resztówce dojrzeli nas przyjaciele walczący z wrogiem. Właściwie już rozbici. Wciągnąłem się w ich liczbę. Dopuścili mnie do tajemnic i planów. Trzeba było wydostać się z osaczenia. Błąkaliśmy się po ogrodach, które kolejnością w ciągu przestawały być bezpieczne. Pies cały czas był ze mną. Przyjaciel. Czasami wypuszczał się w poszukiwaniu jedzenia. Gdy wreszcie pewnego ranka szperacze znaleźli możliwość przebicia się — ruszyliśmy. Nagle. Prowadzący nie krył ryzyka. Punkt, kontrolowany był przez nieprzyjacielskie karabiny maszynowe. Szliśmy zaułkiem gęsiego, w trwodze o los, który mógł naz zgotować ostatnią niespodziankę. Strach nie mieszał jednak naszego szeregu. Wszystko odbywało się według wzorów idealnie prosperującego organizmu. Organizacja. Zbliżaliśmy się już do punktu — jak to mówią — krytycznego, gdy nagle zauważyłem brak przyjaciela. Pies został w ogrodzie. Zameldowałem o stracie dowodzącemu. Odpowiedział mi słusznie: nie będzie się chyba kolega wracał?... trzeba iść naprzód... chodzi o plan. Tak — pomyślałem — trzeba iść naprzód.

Dopiero, gdyśmy przeszli zakręt śmierci, straciwszy trzech towarzyszy, rozum pozwolił mi zapłakać.

I potem jeszcze dwa razy: w święta Bożego Narodzenia. W sumie trzy razy.

Oto określone warunki statystyczne. I rachunek dokładny. Trzy.

Stefan Otwinowski.

BOLESŁAW DUDZIŃSKI

LEKCJA JESZCZE TRWA *)

Jerzy Borejsza

W PRZEDMOWIE do drugiego wydania książki o Hiszpanii (p. „Kuźnica" Nr. 5/47) Jerzy Borejsza pisze m. in. „Po dziesięciu latach od chwili rozpoczęcia wojny domowej w Hiszpanii, po krwawym doświadczeniu wojny światowej, w której przelano morze krwi i morze łez, jesteśmy świadkiem nawrotu tej samej techniki organizowania wojen domowych i obłudnej polityki nieinterwencji. Tak jak gdyby w świadomości narodów nic się nie zmieniło: okupuje się Włochy, aby przeszkodzić reformie rolnej, broni się pod płaszczykiem nieinterwencji systemu gen. Franco; przeprowadza się farsę wyborów w Grecji, oszukuje się ludy kolonialne — — to wszystko przy zalewie frazesów o legalizmie, wolności, pokoju"... A jednak „lekcja hiszpańska nie poszła na marne. Hiszpania była pierwszą próbą wojen ludowych przeciwko faszyzmowi, zapoczątkowała ruchy zbrojne, które utrudniały i paraliżowały ofensywę hitleryzmu w okresie drugiej wojny światowej. Niezliczone ofiary, jakie spowodowała niemoc i nieudolność chwiejnej i niezdecydowanej demokracji przedwojennej wobec faszyzmu, wywołały głębokie przeobrażenia w masach, szukanie dróg nowych, które stanowić będą tamę dla nawrotu reakcji. Nową sytuację frontów narodowych, powstanie ustrojów demokracji ludowej ułatwiła klęska faszyzmu. Zwycięski w ciągu kilku lat hitleryzm złamał i zdruzgotał aparat polityczny systemu sprzed 1939 r. Na zgliszczach tego systemu demokracja ludowa zniweczyła władzę trustów, karteli i obszarników..."

Książka Borejszy wydana została po raz pierwszy w r. 1937. Dziś, po dziesięciu latach, przytoczone wyżej opinie autora możemy z całą słusznością uzupełnić stwierdzeniem, że „lekcja hiszpańska" trwa, że nie dobiegła jeszcze swego kresu, bo przecież faszyzm rządzi nadal w Hiszpanii, podtrzymywany przez te same siły międzynarodowe, których dziełem była sławetna polityka „nieinterwencji", ugoda monachijska i perfidna, lecz zawodna tendencja skierowania agresji hitlerowskiej na Wschód. A więc lekcja hiszpańska trwa, mimo, że dwaj główni profesorowie — Hitler i Mussolini — stali się fizyczną nicością a ich systemy rządzenia są już tylko bezwładnym stosem gruzów. Ale pojętny uczeń — Franco przeżył ku zdumieniu świata swoich mistrzów i protektorów: pogrobowcowi faszyzmu sprzyjają dzisiaj te czynniki wielkokapitalistyczne, które odebrawszy ongi Hiszpanii jej mocarstwowo-kolonialną potęgę — pragną utrzymywać ją nadal w stanie politycznego i gospodarczego uzależnienia.

Książka Borejszy — jedyne w piśmiennictwie polskim tak obszerne i źródłowe opracowanie tematu hiszpańskiego — obejmuje dzieje Hiszpanii w okresie lat 1873 — 1936. Pierwsza data jest datą proklamowania republiki hiszpańskiej po abdykacji króla Amadeusza Sabaudzkiego. Republika ta istniała zaledwie 11 miesięcy i upadła pod naciskiem reakcji i generałów, którzy wprowadzili na tron Alfonsa XII z dynastii Burbońskiej. Rok 1936 — to data nowej antyrepublikańskiej rebelii generalskiej, zakończonej po trzech latach wojny domowej zwycięstwem gen. Franco i jego „falangistów". Fragment nowoczesnej historii w Hiszpanii, traktowany przez Borejszę, urywa się na wypadkach z lipca 1936 r. Można by to uważać za niedostatek książki, gdyby nie fakt, że wydarzenia następnego dziesięciolecia leżą tak blisko naszej świadomości, iż na razie obejść się nie mogą bez dokładniejszej egzegezy historycznej.

Praca Borejszy, w odróżnieniu od wielu tego rodzaju dzieł historiobiograficznych, nie jest ani suchą rejestracją faktów, ani schematycznym ich opisem, pozbawionym pragmatyzmu i usiłowań interpretacyjnych. W przedmowie do pierwszego wydania książki, prof. Czarnowski podkreślał z całkowitą słusznością, że ten fragment dziejów Hiszpanii ujęty jest „przede wszystkim jako historia społeczna i gospodarcza, nie zaś wyłącznie jako historia polityczna. Autor ukazuje nam dojrzewające siły, powstałe w łonie poszczególnych stanów historycznych i klas społeczno-gospodarczych, jako też w grupach regionalnych, siły, zmagające się w ramach zakrzepłych instytucjij publicznych nie tylko ze sobą, ale i z wpływami mocarstw obcych mających polityczne i gospodarcze interesy w Hiszpanii". Dzięki takiemu ustosunkowaniu się do tematu, badanemu w rozległym aspekcie socjologicznym, niewątpliwie można uważać książkę Borejszy za **„przyczynek do teorii rewolucji"**.

Autor zgromadził na trzystu blisko stronach swojej pracy dużą obfitość materiału dokumentacyjnego w postaci cytatów ze źródeł dyplomatycznych i prasowych, wyjątków z publikacji autorów hiszpańskich i zagranicznych, tablic i zestawień statystycznych, w ogóle wszelkich dostępnych i wiarogodnych danych, ilustrujących rozwój wydarzeń hiszpańskich, a zarazem podpierających tezy autora. Chodziło mu o przegląd i analizę sytuacji od zewnątrz i od wewnątrz. Rozdział pierwszy („Hiszpania wraca na arenę międzynarodową"), liczący 40 stron, poświęcony jest omówieniu sprawy hiszpańskiej „od zewnątrz", tj. jako przedmiotu i stawki w grze międzynarodowych sił międzymocarstwowych. Cała reszta książki dotyczy wewnętrznych procesów rozwojowych Hiszpanii. Zachodzi tu jak gdyby ilościowa dysproporcja pomiędzy dwiema partiami książki, ta dysproporcja znajduje przecież uzasadnienie w zamierzeniach autora, który miał na widoku przede wszystkim właśnie wewnętrzne dzieje Hiszpanii, a nie interpretację mocarstw europejskich w stosunku do Półwyspu Iberyjskiego. Tej interpretacji nie brak zresztą w rozważaniach Borejszy: tylko że jest ona utrzymana w ogólnych, syntetycznych liniach, podczas gdy zagadnienia wewnętrzne hiszpańskie potraktowane zostały w sposób możliwie dokładny i wyczerpujący (z wyjątkiem paru kwestii poszczególnych, z czego tłumaczy się autor w „Przypisach").

Osia procesów rozwojowych w Hiszpanii w ciągu ostatnich dziesięcioleci było wrastanie tego kraju w system kapitalistyczny, nieunikniona i powtarzająca się wszędzie walka pomiędzy przeżytkami feudalizmu a zmagająca się dynamika kapitalistyczna, którym to zjawiskom towarzyszyła również rywalizacja kapitału rodzimego i zagranicznego. Trzymając się tych linii kierunkowych, Borejsza poświęca należną część uwagi proletariatowi hiszpańskiemu i zróżnicowaniu ruchu robotniczego, sprawie rolnej i zagadnieniom narodowościowym, a na tle ścierających się sprzeczności gospodarczo - społecznych odtwarza interesujący obraz monarchii Alfonsa XIII i dyktatury Primo de Rivery, która przypieczętowała upadek tej monarchii w r. 1931. Cały rozdział IV książki zawiera dzieje „pięciu lat republiki" (1931—1936): jej narodziny, pierwsze kroki, trudności, błędy i niedostatki, podjęte reformy, przegrupowania socjalno-polityczne i wreszcie te przesłanki i motywy, które doprowadziły w lipcu 1936 r. do wybuchu frankistowskiej rewolty. Podkreślić wypada, że Borejsza omawiając kwestie do dziś dnia wciąż jeszcze palące i jątrzące, unika świadomie tanich efektów agitacyjno - publicystycznych i pozostaje na gruncie swego **ścisłego obiektywizmu.** Dzięki powadze i rzeczowości w ujęciu przedmiotu nie odmawia autor książki takich czy innych zalet osobistych nawet tym, których rola w perspektywie historii okazała się zgubna dla narodu hiszpańskiego, wtrącając go w stan niewolniczej zależności od rodzimej i zagranicznej reakcji.

Nie możemy tu, oczywiście, streszczać całego materiału, podanego kompetentnym piórem autorskim, pozwolimy sobie jednak na przytoczenie kilku cyfr i faktów rzucających światło na ustrojowe sprawy Hiszpanii, dojrzewające do szybkich i radykalnych rozwiązań. Bardzo ciekawa jest np. statystyka stosunków rolnych, uwzględniająca zresztą tylko 51 proc. z terytorium hiszpańskiego. Według tych cyfr, gospodarstwa do 10 ha stanowią aż 98.06 proc. ogólnej liczby gospodarstw (w tym 77.67 proc. gospodarstwa poniżej 1 ha!), zaś gospodarstwa powyżej 10 ha do 250 ha i więcej wypełniają resztę, tj. 1.94 proc. Inaczej jednak wygląda ten stosunek, gdy chodzi o **przestrzeń**, zajmowaną przez gospodarstwa rolne: drobne (do 10 ha) zajmują 8.014.175 ha, większe (ponad 10 ha) — 14.420.375 ha. Uderza tu w oczy brak średniego chłopstwa, przy wielkiej przewadze magnackich latyfundiów i gospodarstw karłowatych. Nie mniej sugestywna jest również tabelka, ilustrująca **dochodowość** poszczególnych kategorii gospodarstw rolnych. Drobne gospodarstwa, płacące podatki do tysiąca pes. rocznie, stanowią 94.94 proc. ogólnej liczby podatników ziemskich; dochód tych gospodarstw wynosi zaledwie 32.67 proc. ogólnego dochodu z roli. Natomiast gospodarstwa większe płacące ponad tysiąc pes. podatku, stanowią tylko 5.6 proc. ogółu ale ich dochód określa się cyfrą 67.33 proc. dochodu ogólnego. Wymowa tych cyfr, będących odbiciem nędzy chłopa hiszpańskiego, świadczy przekonywująco o istnieniu charakterystycznych przeżytków feudalnych w ustroju rolnym w Hiszpanii.

W rozpolitykowanej, skłonnej do wybuchów i awantur armii hiszpańskiej było w r. 1927 207 tys. żołnierzy i 19.906 oficerów w tym 219 generałów(!). Tak więc stosunek oficerów do żołnierzy wynosił 1 do 11. O stanie moralnym armii hiszpańskiej można się dowiedzieć niejednego z twórczości de Baroji, Ibaneza i innych postępowych pisarzy Hiszpanii. Czynnikiem determinującym jest tu fakt, że korpus oficerski składał się niemal bez wyjątku z synów szlachty i obszarników. To też nie było z pewnością przypadkiem, że bunt wojskowy w dn. 18 lipca 1936 r. wszczęty został akurat w chwili, gdy rząd republikański miał wprowadzić w życie dekret o reformie rolnej. W armii hiszpańskiej istnieją związki i organizacje oficerskie tzw. junty różnego pokroju. Są nawet specjalne związki do obrony, poziomu płac („Juntas de Defensa") — co już chyba komentarza nie wymaga.

O politycznych, gospodarczych i kulturalnych wpływach potężnego kleru na życie Hiszpanii można by pisać bardzo wiele. Oto parę cyfr, ujawniających ekonomiczną siłę Kościoła katolickiego w Hiszpanii: Według sprawozdania ministra De Los Rios złożonego w republikańskiej konstytuancie duchowieństwo posiadało 23.940 majątków ziemskich o wartości z górą 112 milj. peset. Wartość majątku kościelnego w samym Madrycie wynosiła 54 milj. peset. Niektóre zakony mają w swych rękach wielkie kapitały i prowadzą ożywioną działalność gospodarczą. Tak np. zakon jezuitów w Madrycie był właścicielem Banco Urquijo o kapitale 126 milj. peset, kontrolując przy tym parę banków prowincjonalnych o kapitale 85 milj. peset. Poza tym zakon jezuitów jest właścicielem madryckiej kolei żelaznej oraz linii okrętowej pn. „Transatlantica".

Ostatni król Hiszpanii Alfons XIII nie był bynajmniej takim głupcem i degeneratem, jakim przedstawiano go niejednokrotnie w karykaturze publicystycznej. W ciągu prawie 30 lat swego panowania (1902—1931) balansował umiejętnie pomiędzy ścierającymi się siłami ustroju monarchistycznego, wygrywając dla celów dynastii narastające wśród poszczególnych stanów i warstw sprzeczności. Gdy utrzymanie równowagi stawało się coraz trudniejsze, a proces różnicowania się czynników socjalno - gospodarczych osiągał gwałtowniejsze tempo, Alfons XIII stworzył dyrektoriat gen. Primo de Rivery, który sprawował władzę aż do r. 1930. Ale i to radykalne posunięcie nie mogło uratować chwiejącego się tronu. Wzmagający się opór obozu demokratycznego oraz niechęć znacznej części arystokracji obszarniczej do generalskiej dyktatury spowodowały w r. 1930 upadek de Rivery, po czym nastąpiły próby quasi liberalnych rządów Berenguera i Aznara. Wszystko to skończyło się w kwietniu 1931 r. ostatecznym krachem monarchii i ucieczką króla, a w Hiszpanii ogłoszono republikę.

Alfons XIII wykazał dużo energii i zapobiegliwości nie tylko w dziedzinie polityczno-dynastycznej. Ten monarcha miał usposobienie przedsiębiorczego kapitalisty, który potrafi wyciągać osobiste korzyści z każdej pomyślnej koniunktury. Taką koniunktura dla Alfonsa XIII był postępujący rozwój kapitalizmu w Hiszpanii oraz zainteresowanie się kapitalistów zagranicznych jej możliwościami ekonomicznymi. Gdy w r. 1931 minister finansów Indalecio Prieto opublikował sprawozdanie o majątku osobistym ex-króla, okazało się, że ten majątek wynosi z górą 26 milionów peset, w tym — w złocie przeszło 850 tys. pes., w nieruchomościach ok. 790 tys. pes. i w papierach wartościowych 24 i pół miliona peset. O przezorności i dobrym węchu zdetronizowanego monarchy świadczy fakt, że większość papierów wartościowych zdeponowana była w bankach zagranicznych, a wśród królewskich pakietów akcyjnych przeważały tak „pewne" walory, jak np. akcje Rio Tinto, Shell Company, Wagons Lits itp.

Majątek osobisty Alfonsa XIII nie stanowił jednak całego mienia domu królewskiego. Królowa bowiem posiadała również przeszło 2.370.000 pes. w zagranicznych papierach wartościowych, najstarszy syn — aż 13 milionów pes., młodsze dzieci — po jednym milionie pes. Jak widzimy, panowanie Alfonsa XIII było dla niego osobiście i dla jego rodziny bardzo dobrym interesem materialnym, którego koszta płacił uciemiężony i wyzyskiwany na różne sposoby lud hiszpański.

Odsłaniając czytelnikowi prawdę o Hiszpanii, książka Borejszy rozprasza wiele legend i nieporozumień, pokutujących w świecie w związku z najnowszą historią tego nieszczęśli-

Madryt plac Puerta del Sol

*) Jerzy Borejsza. Hiszpania (1873—1936) Ze wstępem prof. Stefana Czarnowskiego. Wydanie drugie, uzupełnione. Warszawa, „Książka". 1947 — Str. 285 i 3 nl.

wego kraju. Jedną z tych fałszywych legend była szeroko rozpowszechniana przez reakcję międzynarodową opinia, jakoby rebelia gen. Franco była „zdrowym odruchem" narodu hiszpańskiego przeciwko grożącemu mu rzekomo „niebezpieczeństwu komunizmu". Obiektywne cyfry stracają to twierdzenie do poziomu śmiesznego i pustego kłamstwa. Bo jakże mówić o „niebezpieczeństwie komunistycznym" w kraju, gdzie partia komunistyczna liczyła w r. 1931 aż... 1.000 (jeden tysiąc) członków, gdzie w parlamencie po zwycięstwie wyborczym frontu ludowego r. 1936 zasiadało **na 473 posłów zaledwie 20 komunistów**, podczas gdy prawica miała 154 mandaty?

W ciągu lat 1870—1936 Hiszpania przeżyła trzy republikańskie wiosny, aby stać się w końcu znowu domeną reakcji, posługującej się „bohaterską" figurą Caudilla. Republika w r. 1873 upadła szybko, bo demokracja hiszpańska była dopiero w zaczątkach, pozbawiona ideologicznej krystalizacji i efektywnych środków rządzenia. Druga republika w r. 1931 miała charakter „pauzy w rozgrywce sił", a ludzie tej republiki cierpieli na połowiczność i niezdecydowanie, oportunizm i przesadny legalizm, waskie sekciarstwo i wewnętrzne zatomizowanie. Trzecia republika z r. 1936 stanowiła zbyt późno podjętą próbę ostatecznego złamania sił reakcji, chwytającej się wszelkich sposobów dla zahamowania dzieła postępu i demokratyzacji kraju. Trzecia republika — w zrozumieniu prawdy socjalnej, że chłop bronić będzie ziemi, która jest jego własnością, — przeprowadziła szereg doniosłych reform, lecz nie potrafiła ich utrzymać i załamała się po trzech niemal latach bohaterskiego oporu pod naciskiem nieprzezwyciężonej zawczasu reakcji, wspomaganej gorliwie przez agresywny podówczas faszyzm międzynarodowy.

Swą cenną książkę kończy Borejsza stwierdzeniem. „Anglia zniszczyła potęgę Hiszpanii — Anglia narzuca politykę „nieinterwencji" względem tego kraju w okresie jego walki z najeźdźcą... Ta oto polityka, uwarunkowana interesem pewnych grup gospodarczych W. Brytanii, stała się hamulcem, gwoździem, usiłującym przymocować wieko trumny budzącego się do życia narodu. Klucz sytuacji hiszpańskiej leży w rękach nie tyle narodu, ile rządu angielskiego..." To stwierdzenie nie straciło po dziś dzień swej słuszności, przeciwnie — wypadki bieżące przynoszą raz po raz dowody, popierające dosadnie jego trafność. Naród hiszpański walczy krwawo o swoją — Czwartą Republikę, o taki ustrój i takie państwo, w którym ujawni się wreszcie przemożna wola mas ludowych a naród hiszpański — zbywszy się podwójnego jarzma rodzimych i zagranicznych wyzyskiwaczy — będzie mógł wkroczyć na drogę wolności i rozwoju, czego gwarancją stanie się konsolidacja wszystkich zdrowych i twórczych sił demokratycznych, zbrojnych w nauki i doświadczenia „Lekcji hiszpańskiej".

Ta lekcja, niestety, **jeszcze trwa**, a zakres jej sięga dziś nawet poza geograficzne granice Półwyspu Iberyjskiego. Przymusem tej lekcji objętych zostało wiele państw i narodów, a choć poglądowemu wykładowi towarzyszą liczne cierpienia, gorycz i zawody tłumnego audytorium, rezultat ostateczny — wierzymy w to święcie — nie wypadnie po myśli zbyt pewnych siebie, bezwzględnych arbitralnych wykładowców. Bo cała rzecz w tym, że spokojni i potulni z początku słuchacze dojrzewają szybko i przenikają już nawskroś intencje magistrów. A gdy je przejrzeli, z postawy biernej przechodzą do czynnej, dyskutują i prowadzą spory, bronią się przed autorytatywnym gwałtem i obłudnie maskowaną przemocą, a opór ten będzie twardniał i wzrastał aż do chwili, gdy perfidni profesorowie, zagrożeni w samym swym istnieniu, opuszczą w popłochu katedry, wsparte na sztabach złotego kruszczu i lufach armatnich. A wówczas ci, co dotychczas musieli słuchać tylko, podejmą lekcje dziejowe, do gruntu zmieniając jej treść, prowadząc ją tak, by nie żale, skargi i narzekania, lecz prawdziwa korzyść i dobro narodu stały się rezultatem tej nauki.

Bolesław Dudziński

PAUL ELUARD

BEZ CIEBIE

Słońce pól opada
Słońce lasów zasypia
Odchodzi żyjące niebo
I wieczór na wszystkim ciąży.

Ptaki zastygły w przelocie
O nieruchomej godzinie
Koło gałązek nagich
Gdzie aż do końca tej nocy
Będzie ostatnia noc
Nieludzka.

Zimno wyrośnie z ziemi
Z korzenia winorośli
Tej nocy nie bezsennej
Nie wspominającej dnia
O doskonałej wrogości
Gotowej na wszystko i wszystkich
O śmierci nie fałszywej nie prostej.

Aż do końca tej nocy
Bo nie dozwolono nadziei
Bo nie mam nic do stracenia.

tłumaczyła **Ewa Fiszer.**

Chłopicki na czele Legii Nadwiślańskiej wdziera się do Klasztoru Santa—Engracja w Saragossie

(mal. Janusz Suchodolski około 1870 r.)

JAN REYCHMAN

COSAS DE ESPAÑA

PRZED przeszło stu i dwudziestu laty Joachim Lelewel rozważając przyczyny świetności i upadku Polski szukał analogii w dziejach powszechnych i znalazł ją patrząc „z wyższego stanowiska na ogół Europy" w dziejach Hiszpanii. Tak powstała „Historyczna paralela Hiszpanii z Polską w XVI, XVII i XVIII wieku", wydana potem podczas powstania listopadowego. Lelewel wskazywał na to, że „Hiszpania i Polska z małą różnicą czasu prawie współcześnie, ze szczytu wielkości swojej zstępują". Obie potęgi, „przeważne" w XVI wieku stają się potem „igraszką sąsiadów". Hiszpania — pisze w swej świetnej książce o Hiszpanii, wydanej po raz pierwszy w okresie, gdy sprawa Hiszpanii zaczynała być probierzem zagadnienia wolności i demokracji, w 1937 roku, a słusznie wznowionej obecnie Jerzy Boreisza — przestała być samodzielnym podmiotem swych dziejów". Stała się w XIX wieku terenem rozgrywek angielsko-francuskich, a potem niemiecko - francuskich, tak, jak np. Polska w XVIII wieku była terenem rozgrywek prusko - rosyjskich, czy poprzednio francusko - austriackich. Ale zasadniczo te analogie były zupełnie powierzchowne. Nie było analogii w rozwoju społecznym obu narodów. „Analogie" — pisał kiedyś na marginesie studium Lelewela Bronisław Dembiński — „były zewnętrzne, pomimo uderzającego podobieństwa, polegającego na tym, że obydwa narody, położone na krańcach Europy, rycerskie, wierne Rzymowi ,broniły krzyża przed półksiężycem. Dzieje Hiszpanii" — pisał Dembiński — „toczyły się różnymi odrębnymi szlakami".

Ale jeśli toczyły się odrębnymi szlakami, nie znaczy to, aby ich dzieje wzajemne nie splatały się dziwnymi jakimiś węzłami, nie znaczy to, aby sprawa polska nie zazębiała się o sprawę hiszpańską. Trzy razy w ciągu półtora wieku przelewali Polacy krew na ziemi hiszpańskiej i to w sprawie Hiszpanii, w walkach wewnętrznych Hiszpanii. We wszystkich większych hiszpańskich kryzysach wewnętrznych zakończonych walką domową, w okresie napoleońskim, w walkach karlistów z legitymistami w latach trzydziestych XIX wieku i w wielkim kryzysie z lat 1931—1939, dotąd niezakończonym, brali Polacy udział. Można powiedzieć, że ze wszystkich tych kryzysów tylko ten z lat 1868—1874 obył się bez Polaków. I jeśli Polacy znaleźli się na polach Hiszpanii, jeśli przelewali krew pod Saragosą, Villa Puerta, Huesca, Guadalajarą, nad Ebro czy w wąwozie Somosierry w r. 1808, 1838 czy 1937, to za każdym razem czynili to w mniemaniu swym wewnętrznym, że walczą o swoją sprawę, która była sprawą wolności. Mimo więc odmiennego biegu dziejów, sprawa polska wiązała się czymś ze sprawą Hiszpanii.

Niedawno miałem w ręce małą broszurkę, wydaną w Meksyku. Tytuł jej zdaje się: **„Polonia y Espana en Mejico"**. Polska i Hiszpania w Meksyku... W pierwszej chwili zakrawa to na paradoks. Ale w Meksyku, pomiędzy silnym tam tajnym ośrodkiem republikanów hiszpańskich — a tamtejszym przedstawicielstwem Rzeczypospolitej Polskiej wytworzyły się bliskie stosunki. Poseł R. P. Drohojowski brał udział w szeregu uroczystości hiszpańskich i wygłosił szereg przemówień, w których podkreślono więź istniejącą obecnie między Polską a Hiszpanią, wskazał na analogie między walką narodu polskiego z najeźdźcą, a bojem ludu hiszpańskiego o wolność. Tutaj więc więź ta jest zupełnie jasna. Jest ona obecnie dużo jaśniejsza niż wtedy, kiedy wyszła książka Boreiszy, wtedy, kiedy ochotnicy polscy przelewali krew nad Ebro czy przy Ciudad Universitaria. Tam na polach Hiszpanii rozpoczęła się walka z faszyzmem, tam wypróbowały swe siły niemieckie eskadry lotnicze, które miały się wkrótce zjawić nad Warszawą, Londynem, Belgradem, Rotterdamem, tam napastnik osiągnął zwycięstwo, które zaprowadzić go miało rychło do wszystkich prawie stolic kontynentu. Żołnierz polski walcząc o wolność Hiszpanii wiedział, że walczy o swoją wolność, że dalekie Ebro jest pierwszą linią przed Wisłą. Zaczął tam walkę, którą zakończył na ruinach Berlina w maju 1945 roku.

Ale, o ile w latach 1937—1939, żołnierz polski, walczący na polach Hiszpanii mógł mieć słuszne przekonanie, że walczy tam o wolność swego kraju, że nad Ebro rozstrzyga się los przyszłości jego narodu, to jak to było z tymi jego antenatami z przed stutrzydziestu lat? Towarzysze Kozietulskiego bili się dobrze, ale wiemy, ze wszystkich współczesnych opowiadań, że nie szli chętnie do dalekiej Hiszpanii. Narzekano na wysyłanie ich w obcej służbie, w obronie obcego interesu. Obcego? Jedni politycy polscy wiązali w tych latach losy sprawy polskiej ze sprawą Napoleona, tak jak inni chcieli — może i słusznie? — związać ją raczej z Aleksandrem I. Jeśli więc sprawa Napoleona była w ich wewnętrznym, polskim, patriotycznym przekonaniu sprawą polską, to walka o sprawę polską była wszędzie tam, gdzie była walka Napoleona z jego największym wrogiem to jest Anglia. Była ona więc w wąwozie Somosierry czy w Saragossie tak jak dla walczących z Niemcami żołnierzy polskich walka o Polskę była nad Ebro w 1937, pod Narwikiem w 1941 czy Lenino w 1943. „Na początku XIX wieku" — pisze Boreisza — „popierała Anglia narodową guerillę hiszpańską przeciw Napoleonowi". Dla Anglii Hiszpania była więc tylko przyczółkiem mostowym do walki z dyktatorem kontynentu. „Junta centralna (powstańców hiszpańskich) stała się igraszką w ręku Anglików, a szczególnie Wellingtona, który dyktował jej swe dezyderaty" — pisze dalej Boreisza. Ze swej strony dla Napoleona Hiszpania była równie ważnym obiektem. „Napoleon" — pisze Boreisza — „pragnął stworzyć bazę strategiczną przeciw Anglii oraz rynek eksportu dla kupców francuskich". Jeśli więc Polacy wiązali swe interesy z ówczesnym twórcą „nowego ładu europejskiego", jeśli przeciwstawiali się Anglii, to słusznym jest, że czynili to konsekwentnie na wszystkich frontach, jak i w naszych czasach żołnierz polski walczył o swoją sprawę na frontach pozornie dalekich.

Ale pozostaje druga kwestia: czy walka z powstańcami hiszpańskimi była walką o wolność? Czy wolność może być tak podzielna? „W tragicznej walce" — pisze Boreisza — „szwoleżerowie polscy walecznie giną pod Somosierra w nadziei zdobycia od cesarza niepodległości swego kraju... Giną w walce przeciw niepodległości Hiszpanii..." Tragizm tej sytuacji czuli żołnierze Kozietulskiego i długo ślady tych konfliktów wewnętrznych odbijać się będą w licznych z tego czasu pamiętnikach wojennych i późniejszej literaturze. Często sumienie swoje uspakajali zaczerpnięty z propagandy napoleońskiej argumentami, że Napoleon niesie wyzwolenie społeczne wszystkim ludom, że hiszpańscy powstańcy nie walczą o wolność, ale nieświadomie walczą w obronie swych ciemięzców, tj. latyfundystów i uprzywilejowanych, w interesach Anglii. Bezsprzecznie takie były pozory, bezsprzecznie w szeregach powstańczych było dużo elementów reakcyjnych, a wojska napoleońskie przeniknięte były pozorami postępowej atmosfery w postaci antyklerykalizmu, bezsprzecznie powstanie hiszpańskie wygrywane było jako dywersja przez Anglię, miało wiązać siły mocarza Europy, dopóki nie zagubi się on w śnieżnych polach Rosji. Bezsprzecznie wreszcie „góra" powstania była zachowawcza, jak to charakteryzował cytowany przez Boreiszę Marks: „Junta mogła dokonać wszelkich reform społecznych... Zrodziła się pod dobrą gwiazdą, tą samą, pod którą powstał we Francji Komitet Ocalenia Publicznego... Ale nie zadawalając się zahamowaniem swym aparatem rewolucji hiszpańskiej, działała właściwie jak kontrrewolucja, odbudowała stare autorytety, gasiła ogień rewolucji wszędzie..." Zdawało się pozornie, że powstańcy hiszpańscy byli okłamani, a wolność nieśli im na bagnetach Napoleona dziarscy ułani polscy? Ale ta wolność niesiona przez Napoleona istniała tylko w fantazji poetów. „Napoleon" — pisze Boreisza — „obiecał wprawdzie Hiszpanom pewne ograniczenia władzy feudalnej, jednakowoż w swym planie konstytucji dla Hiszpanii zachował większość feudalnych praw". Ze swej strony z kogo składali się powstańcy hiszpańscy, z czego składała się armia, która pierwsza powstrzymała armie Napoleona? „Tworzą ją" — pisze Boreisza — „spauperyzowani hidalgowie i nieliczni włóczędzy, nędzarze, rzemieślnicy i nieliczni robotnicy chłopstwo, które ruszyło z wiosek z fanatyzmem broniąc swego kraju, mieszczaństwo, zamieszkałe w portach czy miastach przemysłowych, wkońcu młodzież, która studiowała we Francji i była zarażona jakobinizmem. To też w licznych juntach miejscowych nie brak było prób reform, zrównania podatków, zmniejszenia pensji wyższym urzędnikom". Mimo to więc, że mieszczaństwo cofnęło się, nie przeprowadziło reform, nie dało chłopom ziemi, wojna hiszpańska o niepodległość przekształciła się w rewolucję mieszczańsko-demokratyczną". Był zatym paradoks, że idące niby z hasłami postępowymi wojsko Napoleona napotykało naprzeciw siebie... pierwszych hiszpańskich jakobinów, wydających pismo „El Robespierre espanol"...

Rzecz ciekawa, że pomimo okrucieństwa ówczesnej walki (co znalazło swe echo w realistycznych scenach z „Popiołów") Polacy nie mieli niechęci do Hiszpanów, ale i Hiszpanie nawet odnosili się z pewną sympatią do Polaków, czego przyczyną były... noszone przez Polaków szkaplerze, co ich przeciwstawiało bezbożnym Francuzom... Po latach stutrzydziestu walczyć będą znów Polacy tym razem wspólnie z ludem Hiszpanii, gdzie obok spadkobierców jakobinów znajdą się księża baskijscy i znów Polacy sprawiać będą niekiedy kłopoty amatorom wszelkiego schematyzowania i szufladkowego segregowania zagadnień swoją religijnością...

W wojnie domowej jaka rozgorzała w Hiszpanii w latach 1836—1838 znów znaleźli się Polacy. I znów — jak w czasach napoleońskich — nie byli to żadni najemni kondotjerzy, ale ideowcy, emigranci, byli żołnierze powstania listopadowego, którzy tam na polach Hiszpanii reprezentowali pewną koncepcję, która według nich była koncepcją ich własnej wolności, tak jak żołnierze 1808 roku wiązali swój los z losem Napoleona, a żołnierze 1937 roku z losem walki z faszyzmem. Na jakim tle wybuchła hiszpańska wojna domowa 1836 roku? W latach dwudziestych w Hiszpanii zaczęły się pierwsze ruchy liberalne, echa tego samego ruchu, który zrodził spisek dekabrystów i powstanie listopadowe. Była to rewolucja generała Riego. „Po stłumieniu powstania Riego" — pisze Boreisza — „kilka lat przeszło względnego spokoju w Hiszpanii. Pod wpływem reakcji powstało stronnictwo „apostolicos", na czele którego stał brat króla Ferdynanda don Carlos. Po śmierci Ferdynanda na tron wstąpiła jego córka Izabela, a regentką została wdowa Christina. Stronnicy Carlosa utrzymywali, że testament Ferdynanda jest apokryfem i żądali jego unieważnienia: rozgorzała walka, w której Christina oparła się na tzw. liberałach, zaś Carlos na reakcyjnych apostolicos", Była to więc walka wewnętrzna, w której mimo pozorów dynastycznych, były różnice ideowe. Do tego dochodziło jeszcze ustosunkowanie się zagranicy: liberalna Francja popierała liberałów, Anglia i carska Rosja reakcyjnych apostolicos. „Carat nie zbaczał z konsekwentnego popierania reakcji w Hiszpanii — pisze Boreisza. Koncepcją części ówczesnych polityków emigracyjnych polskich było branie udziału we wszystkich walkach wolnościowych, we wszystkich ruchach liberalno-demokratycznych, gdziebykolwiek one były. Była to koncepcja łączności i niepodzielności walki o wolność, walki ze starymi siłami reakcyjnymi, reprezentowanymi wtedy przez Święte Przymierze. Koncepcja ta opierała się na przekonaniu, że w Europie odbywa się rozgrywka między siłami nowymi, wolnościowymi, walczącymi o ideały demokratyczne czy liberalne a siłami zachowawczymi i miejsce Polaków jest wszędzie gdzie odbywa się walka o wolność, w Portugalii przy don Pedrze przeciw don Miguelowi, czy w Hiszpanii przy regentce, w Badenii czy na Węgrzech. O ile jednak w Badenii czy na Węgrzech w 1848 roku łączność sprawy Polski ze sprawą wolności Badenii czy Węgier była oczywista, gdyż wróg był konkretnie ten sam, to jest bezpośrednio sam zaborca Polski, ruchy zaś węgierski czy badeński były rewolucją mieszczańsko - demokratyczną, o tyle w Hiszpanii z 1836 roku sprawa była nieco mglista, łączność sprawy wolności czy postępu oraz sprawy wyzwolenia Polski ze sprawą jakiegoś don Carlosa przeciw regentce Christinie nie była zupełnie jasna, aczkolwiek bliższa analiza tak sił społecznych zainteresowanych w tej walce jak i układu sił międzynarodowych w stosunku do konfliktu o tron hiszpański wskazuje, że sprawy te wiążą się w organiczną całość. Jeśli więc Polacy poczuwali się do roli awangardy sił społecznych Europy, jeśli wiązali swe losy z losem rewolucyj i ruchów liberalnych, jeśli oczekiwali wyzwolenia od fali rewolucyj mieszczańsko-demokratycznych i ich starcia z obozem Świętego Przymierza to ich miejsce mogło być w r. 1836 w „Ułanach Polskich" i „Korpusie Navarry" majora Horaina i pułk. Krajewskiego pod Huescą i Pampeluną.

Sprawa Hiszpanii i sprawa Polski... Gdy Polska podniosła sprawę Hiszpanii przed ONZ podniosły się głosy odmawiające jej prawa zabierania głosu w tak dalekich i pozornie nie wiążących się z własnymi interesami sprawach. Może dla tych sceptyków te parę reminiscencji historycznych przypomni, że w rozmaitych okolicznościach wiązały się losy Polski i Hiszpanii. Zresztą rzecz znów ciekawa: poza tymi więzami i kultura hiszpańska znalazła swe odbicie w Polsce, ba nawet pewne zagadnienia kulturalno - społeczne i or-

ganizacyjne odbiły się u nas. Przeglądając książkę Boreiszy zauważymy, że mimo różnic w rozwoju społecznym pewne zagadnienia hiszpańskie mają swe paralele w Polsce. Ot, np. takie zagadnienie regionalizmu, i u nas ostatnio aktualne, po doświadczeniach wojennych z próbami niemieckimi „gorallenvolku" i „kaschubenvolku". Hiszpania jest jedną z ojczyzn regionalizmu, a regionalizm kataloński budził u nas duże zainteresowanie, co było zresztą nieporozumieniem, gdyż regionalizm kataloński, któremu nawet poświęcono tyle miejsca w książce „Ruch regionalistyczny w Europie" zredagowanej przez entuzjastę wszelkich regionalizmów Patkowskiego, był ruchem o podłożu politycznym i separatystycznym: u nas przykład wojenny wykazał niebezpieczeństwo tych tendencyj, które chciał wykorzystać najeźdźca. W Hiszpanii jest inaczej: ruchy tzw. regionalne katalońskie, baskiiskie czy galicyjskie są ruchami separatystycznymi, o podłożu tradycyjnym, ale równocześnie demokratycznym, podczas gdy faszyzm hiszpański jest antyregionalistyczny i niwelujący wszelkie odrębności.

Tak samo pewne refleksy miał u nas i syndykalizm hiszpański; zresztą pewne poczynania syndykalistyczne polskie o ile nawet były, to wzięły z syndykalizmu hiszpańskiego jego treść najgorszą i w samej Hiszpanii już podczas wojny przeciwko Franco powoli porzucaną, to jest antyparlamentaryzm, wrogość do łączenia się ze wszystkimi innymi siłami we wspólny front, niechęć do walki politycznej na korzyść walki ekonomicznej co w praktyce oznaczało często tworzenie nieświadomie sui generis „piątej kolumny", (czasem nawet i świadomie, gdyż pewne elementy syndykalistyczne znalazły się potem w „Falandze narodowo - syndykalistycznej").

Jeszcze ciekawsze jest odbicie pewnych prądów literackich i myślowych. Ostatnio przypomniano na marginesie dyskusji o ks. Bace wpływ pewnych prądów myślowych hiszpańskich w Polsce w XVII i XVIII w. Literatura barokowa polska stoi pod dużym wpływem hiszpańskiego mistycyzmu religijnego, hiszpańskie książki religijne są gęsto tłumaczone w Polsce (niestety z drugiej ręki). Zarówno ten wpływ jak i przelotny późniejszy wpływ pewnych utworów hiszpańskiej literatury pięknej doby baroku ma swoją podstawę w pozornych analogiach życia polskiego i hiszpańskiego w tym okresie, przeżywania baroku jako nawrotu do religijności, „nowego średniowiecza", analogii między rolą Polski w walce z półksiężycem a podobną poprzednio rolą Hiszpanii, na której oparta jest hiszpańska, czy też na hiszpańskich tematach się opierająca (Cid el Campeador) epika doby baroku. Nie są to więc refleksy bezpośrednie. Ale w epoce romantyzmu niespodziewanie wiatr hiszpański przeleciał przez naszą poezję. Z Petersburga pisał 20 maja 1828 roku Mickiewicz do Odyńca: „Czy nie dostaniesz tłumaczenia Calderona przez Kamińskiego? Ciekawe zjawisko! Przecież odezwano się o Hiszpanach, o których Franciszek Dmochowski ojciec i ks. Gołański tąk śmiało sądzili i wyrokowali nigdy ich w oczy nie widząc..." Potem na emigracji Słowacki uczy się hiszpańskiego, daje nam przekład Calderona... Ale ten wiatr szybko przeminął. Z nowszej literatury hiszpańskiej tylko Ibanez doczekał się u nas popularności. O nowszej literaturze nie wiemy nic. Czesi wydali niedawno zbiór poezji Hiszpanii rewolucyjnej, czy u nas w ojczyźnie tylu ludzi, którzy przelewali krew na polach Hiszpanii nie można by się podjąć wydania podobnego zbiorku? Książka Boreiszy, jakiej pozazdrościć nam może nie jeden kraj daje jak sam autor mówi „syntetyczne zobrazowanie przekroju życia społecznego Hiszpanii w latach 1873 — — 1936". Brak nam jest teraz rzeczy o kulturze Hiszpanii, tej Hiszpanii, która jest nam bliska.

Jan Reychman

EUGENIUSZ CĘKALSKI

Drogi nowego filmu

Sprawa filmu w Polsce wywołuje zawsze dyskusje i ferment w świecie kulturalnym z powodów zupełnie oczywistych — po pierwsze film w Polsce właściwie jeszcze nie powstał, a tradycje teatru i literatury polskiej zdają się uzasadniać nadzieje, że powstać powinien, po drugie mimo, że już przed wielu laty Lenin powiedział, iż kino jest najbardziej ważną i najbardziej masową sztuką — u nas mało kto wśród tzw. elity kulturalnej zdaje sobie sprawę z prawdy i wagi tych słów. Filmu w Polsce nie ma, bo i kin nie ma jeszcze w skali, w jakiej są w każdym prawie cywilizowanym kraju. Mamy około 500 kinoteatrów, małych, źle wyekwipowanych, wiele z nich nie gra codzień. Wypada średnio jedno kino na 50.000 ludności. W Związku Radzieckim przypada jedno kino na 6.000 mieszkańców. W Stanach Zjednoczonych jedno na 5.000, a w Czechosłowacji jedno na trzy tysiące. A więc mamy zaledwie jedną dziesiątą kinoteatrów, jakie mogłyby Polskę na prawdę obsłużyć. Wg rozmaitych obliczeń wypada, że do kina chodzi w Polsce zaledwie 5.000.000 osób, a więc jedna piąta ogółu ludności. Jest to ludność przede wszystkim mieszczańska. Dopiero uprzystępnienie kina związkom zawodowym wprowadzi powoli do kin proletariat miejski, na wieś kino zaledwie zaczyna docierać. Oczywiście ten stan rzeczy nie jest winą ani filmowców polskich, ani rządu, a po prostu naturalnym objawem ubóstwa kraju. Dziś już jednak istnieją warunki, by w miarę uprzemysłowienia kraju postawić sprawę kinofikacji Polski na pierwszym planie. I to nawet na planie bliższym niż produkcja filmów rozrywkowych typu „przebojów". Bo film powstaje tam gdzie są kina. Niesposób w krótkim szkicu analizować jakie metody prowadzą najlepiej do upowszechnienia filmu w Polsce, ale slogan jaki widziałem w jednej z fabryk sprzętu kinowego w Łodzi — STWORZYMY KINO DLA MAS — nie może zostać frazesem. W Polsce feudalno-sanacyjnej można było robić filmy dla mieszczaństwa i dla snobów kawiarnianych. W demokratycznej tworzyć je trzeba dla mas i nie wolno zapomnieć o ich społecznej i wychowawczej roli. W tych warunkach nie wolno oczywiście spodziewać się arcydzieł czy światowej skali twórczości — a przecież tylko dostosowanie pracy filmowej do istniejących potrzeb i możliwości wytworzyć może film naprawdę dobry.

Umasowienie kina nie oznacza bynajmniej budowy tysięcy kinoteatrów rozrywkowych. Nie stać nas na to narazie i ważniejszą jeszcze rolę spełni kinofikacja, jeśli powstaną tysiące punktów kinowych wyświetlających filmy kształcące i informacyjne, filmy na wąskiej taśmie, tam gdzie dotarła elektryfikacja — a na szerokiej, w aparatach przenośnych, tak gdzie trzeba przywieźć ze sobą źródło energii elektrycznej. A więc kinofikacja jest akcją równoległą do elektryfikacji. Kino na wąskiej taśmie jest lżejsze, przenośne i spełni wielką rolę pomocnicza w postępie kultury i oświaty. Nie dawno byłem na wsi mazurskiej i rozmawiałem z ludźmi, którzy nie znali znaczenia słowa „film". Takich ludzi jest wielu. W tym stanie rzeczy kłócenie się o to, czy w Polsce powstać mogą filmowe arcydzieła rozrywkowe, wydaje mi się rozmowa nie na temat. Pierwszym naszym zadaniem jest stworzenie przyzwoitego filmu oświatowego, informacyjnego i paru udramatyzowanych reportaży współczesnych. Tylko niewielka ilość energii twórczej winna być skierowana na tworzenie wielkich filmów kompozycyjnych. Powstaną one z czasem i o tyle będą dobre, o ile staną się wyrazem potrzeby społecznej. Nie można budować filmu od góry, trzeba go budować od podstaw.

W czasie wojny filmy oświatowo - informacyjne na wąskiej taśmie dokonały niezwykłego dzieła w Anglii i w Ameryce. Dotarły wszędzie tam, gdzie jest świetlica, szkoła, czytelnia czy kościół. Dla przykładu powiem, że filmy jakie produkowałem w Ameryce dla fundacji filmowej International Film Foundation, informujące Amerykę o Polsce, poza kilkunastu kopiami na kina, rozprowadzone zostały w fantastycznej na nasze stosunki ilości 300 do 400 kopii na wąskiej taśmie po całym kraju. Życie takich kopii trwa długie miesiące, a przy dobrej konserwacji całe lata i liczac skromnie **poza kinami** każdy taki film liczyć może na kilkanaście milionów widzów. Nie zapominajmy, że osiągnięcia takie są możliwe w warunkach konkurencji i chaosu gospodarki prywatnej. W warunkach planowej i jednolitej gospodarki kinowej cyfry te jeszcze by wzrosły...

Trzeba przyznać z pełnym uznaniem, że w warunkach tak ciężkich, jak nasze, dużo już osiągnięto w dziedzinie kina. Przedewszystkim uruchomiono kinoteatry i dano im stały dopływ bardzo dobrego materiału kronikarskiego. Polska Kronika Filmowa stoi na poziomie zagranicznym i jej obsługa jest bez zarzutu. Pracują w niej zdolne, nowe i młode jednostki. Film krótkometrażowy, chociaż nie dorównał jeszcze zagranicy, też ma w dziedzinie reportażu parę niezłych osiągnięć. Przed wojną była to dziedzina w Polsce wyjątkowo twórcza. W porównaniu z PATem i filmem pełnoprogramowym, który prawie zawsze był mieszczańską szmirą — krótki metraż dał parę naprawdę dobrych filmów społecznych i reportaży, a nawet parę dobrych eksperymentów. Filmy Instytutu Spraw Społecznych, filmy dla spółdzielczości i dla niektórych państwowych instytucji stały często na wysokości zadania. Robili je naogół młodzi ludzie o dużym poczuciu społecznej roli filmu i stawali oni do walki z mieszczańską szmirą produkcji pełnoprogramowej słusznie określonej nazwą „grajdołka". Dziś ci sami ludzie, straciwszy parę lat możności rozwojowych przez wojnę, zabierają się do roboty ale myślą niestety prawie wyłącznie o filmie wielkim, atelierowym. Nic dziwnego, że napotykają na daleko idące trudności. Moim zdaniem, jeśli wolno mi po przyjacielsku zwrócić im uwagę, przecenili oni i istniejące u nas możliwości i własne siły.

Przed wojną powstawało w Polsce około 30 „wielkich" filmów rocznie. Wielkimi były one w swej długości, w treści i formie były bardzo małe. Najlepszym tego dowodem fakt, że nigdy nie dostały się za granicę (jeśli nie liczyć getta polonijnego w Ameryce). Dostawały się natomiast zagranicę filmy czeskie i szwedzkie. Z Polski tylko żargonowe dramaty żydowskie (Jidele gra na skrzypcach — itd.) uzyskały parę ekranów zagranicą. Pamiętamy wszyscy jak te filmy powstawały. Robiło się je bez pieniędzy na kredyt w laboratorium, na kredyt w „Kodaku", na weksle kinarzy, którzy z góry przyjmowali obsadę nienakręconego filmu. Weksle te, by płacić aktorom i robotnikom, dyskontował w kawiarniach tajemniczy lichwiarz, który brał za inkaso do 30 proc. Był to zdaje się, poza właścicielem, atelier i laboratorium jedyny człowiek w Polsce, który na tej produkcji zarabiał. W tych warunkach trudno było mówić o pracy twórczej, a kiedy kręciłem w 1937 r. „Strachy" — właściciel kina warszawskiego przychodził do atelier i radził jak robić, żeby się publiczności podobało. Dał duży zadatek w wekslach i mógł dyktować warunki. Jakie filmy mogły w tych czasach powstawać — łatwo zgadnąć i dobrze pamiętamy. Robiono te obrazy na akord, rynek był mały, więc Waszyński kręcący na pośpiech i bez zastanowienia miał największy popyt. Byle tanio i prędko, a że źle, publiczność i tak przyjdzie a reklama swoje zrobi. Ten stan rzeczy skończył się bezpo-

JULIUSZ ŻUŁAWSKI

„Miasto w Dolinie" Priestley'a w Teatrze Kameralnym

Zaczyna się od symboliki. Swoje jakieś wyśnione, idealne miasto zawiesza Priestley — autor od dawna już w Anglii niesłychanie popularny, chociaż nie zanadto głęboki — gdzieś w przestrzeni, w jakimś zupełnie nieznanym miejscu na ziemi, do którego rozmaici ludzie — wytypowani przedstawiciele klas społecznych — trafiają przypadkiem, wbrew woli, na skutek drobnych, prywatnych katastrof o symbolicznym posmaku. Droga powrotna z tego miejsca jest również symbolicznie „trudna", „niebezpieczna" i t. p.

Ten cały sos symboliczny nie jest najlepszą stroną sztuki, a już sprawa trafiania tych ludzi do owego miasta poprzez chwilową utratę przytomności — jest dziwolągiem trochę nazbyt „wypsychologizowanym".

Dlaczego nazbyt? Otóż dlatego, ponieważ w gruncie rzeczy cała sprawa nie jest żadną baśnią, miasto — o którym mowa — nie jest żadnym utopijnym Eldorado, a ludzie — którzy to miasto odnajdują — są ludźmi z bardzo określonej rzeczywistości. Gdy zrzucić ów baśniowy „sos" symbolistyczny — okazuje się, że cała sztuka jest czymś w przeciwnym kierunku krańcowym: jest mianowicie wyraźnym artykułem publicystycznym.

Przeszło rok temu, w tygodniku „The New Statesman and Nation" z 23 marca 1946 r. natknąłem się na omówienie pamfletu Priestley'a p. t. „An Essay on Britain, America and Russia", wydanego po jego wycieczce do Związku Sowieckiego, gdzie szczególnie wielkie wrażenie wywarł na nim nastrój „fraternity" — braterstwa, który tam zaobserwował. „Mr. Priestley został podniesiony na duchu i odświeżony, podobnie jak inni, żywotnością, zaufaniem i koleżeństwem codziennego życia w Związku Sowieckim. Stwierdził, że Rosjanie ciągle jeszcze wierzą w spokojny i pomyślny dla pospolitego człowieka świat — i że uważają swoją własną rewolucję za bazę wspólnoty światowej, w której zrealizują się sny o braterstwie ludzkim".

Jeżeli tak wypowiadał się Priestley po powrocie ze swej podróży do Związku Sowieckiego — nie może ulegać wątpliwości, że atmosfera braterstwa i ustrój gospodarczy, panujący w „wymarzonym mieście" z jego sztuki, nie jest czymś czysto wymarzonym, lecz że przekonanie autora o idealnym, najsprawiedliwszym porządku rzeczy potwierdzone zostało w dużej mierze tymi jego wrażeniami z podróży.

W tej sztuce — o której powiedziałem, że posiada duże cech artykułu publicystycznego — z wizją wspaniale zorganizowanego i radosnego miasta sprawiedliwości społecznej konfrontuje autor już zupełnie ściśle określony świat, świat dzisiejszej współczesności angielskiej. Z tym światem stara się rozprawić w sposób jak najbardziej rzeczowy. Podczas gdy sprawiedliwego miasta nie umiał mimo wszystko ten Anglik pokazać z dostateczną konkretnością — wizerunek społeczny i polityczny swego kraju nakreślił niebywale trafnie. Oglądamy tu trzy grupy reprezentantów współczesności angielskiej. Lady Loxfield i Sir George — zbiedniała arystokracja, ale pełna pretensji choć godna „wypchania trocinami". Dalej Cudworth i Dorothy Stritton — grupa najżywotniejsza, panująca grupa średnich kapitalistów, najgroźniej reakcyjna. Wreszcie Joe Dinmore, Mrs. Batley, Alice Foster, Malcolm Stritton i Philippa Loxfield — proletariat robotniczy, drobny urzędnik i córka arystokracji, wyłamująca się ze swego skostniałego środowiska, entuzjastycznie wpatrzona w wizję „lepszego miasta".

Wzajemne stosunki między tymi grupami, momenty solidarności i momenty gwałtownych starć — szczególnie pomiędzy grupą pierwszą i drugą — scharakteryzowane zostały z precyzyjną trafnością polityczną w pokazaniu angielskiego świata. A już trzecią grupa jest dla tego świata zwierciadłem nad wyraz aktualnym: jest tam zgorzkniały i pozbawiony wszelkiej dynamiki robotnik angielski, który „nie wierzy w rewolucję" i nawet po zobaczeniu jej skutków na przykładzie pojawiającego się miasta — wraca jednak w atmosferę dotychczasowego ustroju, aby pchać dalej, z nowym niby zastrzykiem sił, swoją mizerną taczkę powolnej ewolucji (w czym mu zresztą autor trochę fałszywie brzmiącą retoryką dopomaga). Mrs Batley, prosta ale doświadczona babina - sprzątaczka, reprezentować ma zapewne naturalny instynkt i naturalną mądrość prostego człowieka, człowieka wolnego od dylematów — i w tym sensie skontrastowana została z chwiejnym i zawiłym Joe Dinmore. Dla zupełnie prostego człowieka — chce pewnie powiedzieć przez tę postać autor — pozytywność zmian, stworzonych przez rewolucyjny postęp, jest czymś tak oczywistym, jak lepsze mieszkanie od gorszego.

Jest tam dalej drobny urzędnik bankowy, pełen pozytywnych myśli, dobrych chęci i entuzjazmu, którego w ostatniej chwili więzy najrozmaitsze, których nie umie przezwyciężyć, ściągają jednak wstecz. Oprócz Mrs. Batley — w rezultacie tylko dzielna Philippa, córka Lady Loxfield, z radością i odwagą akceptuje rewolucję i pozostaje przy niej... Ale sama Philippa nie uratuje Anglii. A Mrs. Batley również jeszcze nie prędko.

Cała sprawa jest prosta i jasna. Ale autor, piszący tę sztukę, nie przestał być Anglikiem, czyli nie przestał być człowiekiem, który wprawdzie potrafi trzeźwo spojrzeć na swój własny kraj, lecz dla którego jednocześnie jakikolwień inny ustrój, daleko naprzód wysunięty na drodze postępu, jest zawsze raczej piękną fata-morganą, niż konkretną rzeczywistością.

Wydaje mi się, że w Teatrze Kameralnym Domu Żołnierza — reżyser i dekorator, Jan Rybkowski, nie popełnił żadnego błędu w swojej interpretacji sztuki. Światło i dekoracje podkreślają tkwiący w tej sztuce nastrój pozornej niesamowitości, a równocześnie wszystkie sprawy — cała publicystyka utworu — przepływa prosto i wyraziście.

Wiele przyczynił się też do tego w zasadzie bardzo dobry zespół aktorski. Prawie wszystkie postacie są żywe, naturalne, przekonywujące. W pierwszym rzędzie Żukowski jako Joe Dinmore, Tatarski jako Sir Geoge, Wierzejska jako Mrs. Batley, Drapińska jako Philippa, Jakubińska jako Lady Loxfield, Bielicka jako Alice. Malcolm Stritton Dejunowicza był trochę nazbyt groteskowy. Zdaje się, że niepotrzebnie.

W całości — widowisko jest napewno interesującą pozycją w dorobku Teatru Kameralnego

Juliusz Żuławski

„Miasto w Dolinie"
reżyseria i dekoracje: J. Rybkowski
H. Drohocka, K. Dejunowicz, F. Żukowski, H. Bielicka, A. Mikołajewski, B. Drapińska, W. Jakubińska, Z. Wierzejska, L. Tatarski.
Fot. M. Frankfurt

wrotnie. Zmiotła też zawierucha wojenna wielu pracowników tej polskiej produkcji. Została nas mała garstka. Nie było laboratoriów i atelier. Trzeba więc całkiem na nowo budować. Nie można już robić na łapu capu, nie można robić dla kawiarnianej pseudointeligencji. Trzeba robić filmy dla mas i dla nowej Polski. Na to by je robić, wtworzyć trzeba przedewszystkiem atmosferę pracy twórczej. Atmosferę tę przed wojną tworzyły takie grupy jak START, gdzie w pokazach, dyskusjach i odczytach wytwarzał się sprawdzian oceny filmu, powstawały ambicje i rozwijały się w walce o dojście do głosu talenty. Dzisiaj ośrodka takiego nie ma. Działacze startowi są dyrektorami. Młodzieży filmowej nie ma, a szkolenie jest jeszcze ciągle zagadnieniem nierozwiązanym. Ze związków robotniczych, z działaczy społecznych, z uniwersytetów robotniczych i ludowych przyjść muszą nowi ludzie, którzyby kino uczynili sprawą swego życia. Wtedy dopiero powstaną warunki tworzenia nowego filmu rozrywkowego. Dziś jednak, dzięki ofiarnej pracy tych, którzy Film Polski stworzyli, jest już podstawa do pewnej, ograniczonej zresztą pracy nad filmami pełnoprogramowymi. Jest zespół ludzki zdolny do stworzenia około 10 filmów rocznie i filmy te — jest nadzieja — powstaną. O ile odbiegną od przedwojennego standartu — to inna sprawa.

Podnosi się u nas często głosy, że filmu nie ma, bo nie ma scenariuszy. Wydaje mi się że bez przesady każda prawie notatka dziennikarska w prasie jest w kraju o tak bogatym życiu, jak Polska dzisiaj, tematem do filmu. Tyle się przecież dzieje i obok nas życie samo daje nam tyle do pisania i komponowania, że narzekać na brak tematów nie wolno. Czy mają je opracowywać literaci? Oczywiście, jeśli znają i rozumieją film. A takich jest bardzo niewielu.

Bo nie wystarczy być poetą, dramaturgiem czy powieściopisarzem, aby napisać dobry scenariusz. Kino ma swoistą metodę organizowania zjawisk i pojęć, a ujęcie czysto literackie czy teatralne może tylko dziełu filmowemu zaszkodzić. Jednakże praktyka 40 lat wykazuje, że najlepsze filmy świata — filmy Chaplina, Eisensteina, Pudowkina, Johna Forda, Rene Claira — były zawsze pisane albo przez samego reżysera, albo też przez scenarzystę z tym reżyserem najściślej współpracującego. I tajemnica utworu kinowego jest koncypowanie go w obrazie i dźwięku, a nie w słowie czy w pojęciu. Taką dyscyplinę opanowania obrazu i słów rzadko posiada literat. Dla niego słowo jest (i słusznie) wszystkiem. Dla filmowca słowo jest dodatkiem do zjawiska. Dlatego też twierdzenie jakoby film polski zawinił, gdyż nie umie współpracować z literatami, jest bezpodstawne. Literatura sama musi znaleźć drogę do filmu — droga filmu do literatów może z łatwością stać się drogą zaliczkowania utworów, które nigdy nie ujrzą ekranu. Pisarze, dla których kinowa forma wyrażania się jest bliska i którzy ją rozumieją, staliby się niewątpliwie jednym z najcenniejszych wkładów w nowym filmie. Ale poznanie filmu wymaga długiej pracy, studiów, nauki. Stworzenie muzeum filmowego, stałych pokazów i dyskusji, stworzenie atmosfery rzetelnej pracy nad filmem, jest koniecznym warunkiem przyciągnięcia do filmu nowych ludzi. Trzeba raz jeszcze wykazać, ile kino może i znaczy, bo jak prawie wszędzie, tak i u nas, mało kto jeszcze tę rolę zasadniczą, kształtującą psychikę mas, zrozumiał. I trzeba wykazać, że tylko użyteczność daje filmowi siłę i piękno. Bezmyślne estetyzowanie nie prowadzi do niczego — tylko do jałowej i pustej ekwilibrystyki. Tym czasem u nas, większość przychodzącej do filmu młodzieży, jak ze zdumieniem stwierdziłem, tkwi w potrzebie eksperymentowania, w romantyzmie uciekającym od życia, podczas gdy życie to domaga się od nich trzeźwej realistycznej postawy.

Najlepsza szkoła filmowa będzie dla młodych i dla nowych reportaż, w reportażu jedynie wytworzyć się może polski styl filmowy, a film polski bez własnego stylu zostanie nadal szmirą. Styl ten wytworzyli w reportażu np. anglicy i prace Griersona, Rothy, Wrighta sprawiły, iż kino angielskie znalazło swą formę i stoi dziś wyżej od oderwanego od życia Hollywoodu.

Dlatego też wydaje mi się pierwszym nakazem dla nowego filmowca polskiego nawiązanie kontaktu z polską rzeczywistością. Dlatego wydaje mi się, rozwój reportażu filmowego jest zasadniczym warunkiem rozwoju polskiego filmu. Tak samo tematyka filmów pełnoprogramowych sięgnąć musi przedewszystkiem do tematyki współczesnej. Ta droga tylko oderwiemy się od pseudoromantyzmu, który tyle naszej sztuce (nie tylko filmowi) zaszkodził. Życie samo zresztą zmusi nas do takiego podejścia do pracy. Film polski nie stoi technicznie na poziomie zagranicy i stać nie może. Nasze możliwości w dziedzinie zapisywania dźwięku, dekoracji, charakteryzacji i oświetlenia są nikłe i nawet przy najlepszej woli naszych techników i przy koniecznym dla nich dokształceniu ich, czy to przez wyjazdy za granicę, czy to przez sprowadzanie do Polski fachowców obcych, nie wiele się poprawia. Ale tego, co jest nasze i autentyczne, tego, co stanowi istotę realizmu naszego życia, nikt obcy nas nie nauczy i tego nikt nam w żadnym Hollywoodzie nie odtworzy. Prawda naszego życia jest jedyną siłą przyszłego polskiego filmu. Dopiero po jej zarejestrowaniu wolno nam komponować epopeje, filmy historyczne i kostiumowe. A nie wstydźmy się, gdy słabo wypadną, nie stać nas na konkurencję techniczną z zagranicą...

Film w Polsce nie zależy ostatecznie od tego czy jego konstrukcja i organizacja taka będzie czy inna, czy w takich czy innych formach ułoży się praca. Formy Przedsiębiorstwa Film Polski mogą być oczywiście ulepszone, ciężka maszyna biurokratyczna usprawniona i przy zachowaniu słusznej zasady upaństwowienia kin, produkcja rozbita być może dla usprawnienia na samodzielne grupy produkcyjne (może nawet na spółdzielnie) ale istota zagadnienia pozostanie zawsze ta sama — mobilizacja wszelkich sił dla umasowienia kina, stworzenie atmosfery twórczej, położenie akcentu na filmie oświatowym i szkolnym, szkolenie nowych sił twórczych w pracy nad stworzeniem stylu polskiego realizmu filmowego oraz obudzenie dla spraw kina zaspałej opinii publicznej, która jasno widzi wady i zalety „Zakazanych piosenek", a nie wiele interesuje się tak kapitalnym dla młodego kraju zagadnieniem, jakim jest sprawa rozbudowy kultury filmowej w Polsce.

Eugeniusz Cękalski

Zagranicą o literaturze polskiej

W zagranicznych periodykach literackich życie kulturalne Polski Odrodzonej znajduje żywe echa. Zwłaszcza w krajach Europy środkowej wzrosło zainteresowanie dla polskiej twórczości literackiej, której poświęcono (jak np. w Czechosłowacji) wiele wydawnictw i rozpraw drukowanych w prasie.

Nakładem praskiej firmy wydawniczej „František Borovy" ukazał się „Wybór Polskiej Poezji 1938—1945" w przekładach poety czeskiego, Jana Pilara. Wybór ten obejmuje utwory Krzysztofa Baczyńskiego, Stanisława Balińskiego, Romana Bratnego, Władysława Broniewskiego, Józefa Czechowicza, Tadeusza Gajcego, Tadeusza Hołuja, Jana Huszczy, Mieczysława Jastruna, Światopełka Karpińskiego, Marii Morstin-Górskiej, Czesława Miłosza, Jana Bolesława Ożoga, Marii Pawlikowskiej Juliana Przybosia, Jerzego Putramenta, Tadeusza Różewicza, Aleksandra Rymkiewicza, Włodzimierza Słobodnika, Leopolda Staffa, Artura M. Świnarskiego, Juliana Tuwima, Adama Ważyka, Kazimierza Wierzyńskiego, Adama Włodka, Wojciecha Żukrowskiego, Xeni Żytomirskiej.

Miesięcznik literacko - naukowy „Kytice", pod redakcją Jarosława Seiferta poświęcił nr III-ci literaturze polskiej. Z polskich utworów prozą znajdujemy w nim opowiadania i essaye: Jana Wiktora, Emila Zegadłowicza, Jerzego Putramenta, Kazimierza Brandysa. Z poezji — wiersze: Juliana Tuwima, Władysława Broniewskiego, Antoniego Słonimskiego, Mieczysława Jastruna, Leopolda Staffa, Romana Bratnego, Tadeusza Różewicza, Tadeusza Gajcego, Krzysztofa Baczyńskiego. Ten sam numer obejmuje artykuły krytyczne o literaturze polskiej pióra czeskich pisarzy: Karola Krejčiego, A. St. Mágra, A. M. Píšy, Józefa Rumlera i Jarosława Záwady.

Z przekładów literatury polskiej na język czeski ukazały się lub są w opracowaniu: „Medaliony" Zofii Nałkowskiej, „Dziewczęta z Nowolipek" Poli Gojawiczyńskiej", „Jezioro Bodeńskie" Stanisława Dygata, „Miasto Niepokonane" Kazimierza Brandysa, „Noc" Jerzego Andrzejewskiego, „W rozwalonym domu" Jana Dobraczyńskiego i in.

W przyszłym sezonie wydawniczym ukaże się tom opowiadań pisarzy polskich w opracowaniu znanej tłumaczki czeskiej, Heleny Teigeovej. Tom obejmuje utwory: Jerzego Andrzejewskiego, Pawła Hertza, Jana Papugi, Adolfa Rudnickiego, Artura Sandauera, Jarosława Iwaszkiewicza, Wojciecha Żukrowskiego, Tadeusza Borowskiego i in.

Ukazujący się w Pradze „Slovensky Prehled" notuje rozmowę „Kuźnicy" na temat prozy, obszernie streszczając wypowiedzi dyskutantów. Również w niemieckim „Osterreichische Tagebuch" (nr 13) Guido Panek poświęca dyskusji „Kuźnicy" oddzielny artykuł: „W poszukiwaniu nowych form prozy artystycznej". Czytamy w nim: „Ukazująca się w Łodzi „Kuźnica" zainicjowała niedawno zebranie pisarzy. Zebrani dyskutowali nad zagadnieniem prozy artystycznej. Wypowiedzi i poglądy dyskutantów zawierają tak interesujące momenty, że wydaje się rzeczą ważną, by poinformować o nich austriackie koła literackie". Poczem następują pełne cytaty poszczególnych głosów.

Francuska prasa literacka zamieszcza co pewien czas fragmenty utworów pisarzy polskich oraz publikacje na temat życia kulturalnego w Polsce. W „Lettres Francaises" i „Europe" ukazały się obszerne fragmenty i artykuły pióra: Leona Kruczkowskiego, Kazimierza Brandysa, Marii Kuncewiczowej, Artura Sandauera, Zbigniewa Bieńkowskiego. Najbliższy sezon wydawniczy przyniesie przekłady francuskie wielu powieści polskich dwudziestolecia międzywojenego i dwulecia po wojnie: „Pawie pióra" Leona Kruczkowskiego, „Granicę" Zofii Nałkowskiej, „Panny z Wilka" Jarosława Iwaszkiewicza, „Miasto niepokonane" Kazimierza Brandysa, „Noc" Jerzego Andrzejewskiego.

Wydawnictwa radzieckie opracowują przekłady prozy J. Andrzejewskiego, H. Boguszewskiej, J. Kornackiego, K. Brandysa, A. Rudnickiego.

JULIA HARTWIG

J. R. BLOCH – Żywot przykładny

Zmarły w marcu 1947 roku Jan Ryszard Bloch zestawiany jest we wspomnieniach pośmiertnych z pisarzami i bojownikami o sprawiedliwość społeczną takiej miary, jak Henry Barbusse i Romain Rolland.

Urodzony w Paryżu w r. 1884 w żydowskiej rodzinie alzackiej osiadłej we Francji od 1870 r. już we wczesnej młodości bierze udział w ruchu kierowanym przez Jaurès'a Barrès'a i Pegny. Wraz z nimi zakłada uniwersytety powszechne, teatry popularne, pisma z których najpoważniejszym był „L'effort libre". Wokół niego skupia J. R. Bloch tych pisarzy swego pokolenia, których działalność miała się streszczać w haśle służby. Szereg komentarzy politycznych, społecznych i literackich drukowanych przez Blocha w tym piśmie złożył się na książkę „Carnaval est mort", po której ukazał się następny zbiór szkiców „Destins du siecle". Widać ten rodzaj publicystyki bliski był jego umysłowości skoro uprawia go z niesłabnącą pasją w miesięczniku „Europe", aż do ostatniego numeru, który ukazał się przed jego śmiercią. Publicystyka ta, rodzaj zdawałoby się ulotny, choć mający swoją tradycję w historii pisarstwa, będzie świadczyć i o tym pisarzu. Za przykład może służyć choćby szkic jego zatytułowany „La France silencieuse" gdzie Bloch kreśli sylwetę generała de Gaulle'a, jego rozgłos i upadek popularności i to w okresie niemal symbolicznego ścierania się autorytatywnej jednostki, mającej za sobą obóz zachowawczy, — z wolą i interesami ludowymi, które wreszcie zwyciężają, doprowadzając do władzy Francuską Partię Komunistyczną. Szkic ten, noszący znamiona dobrej roboty pisarskiej, bardzo jest typowy dla Blocha. Wyprowadzony ze zdecydowanej postawy polityczno-społecznej daleki jest przecie od brutalnego zacietrzewienia; gorąca temperatura przekonań nie przesłania logicznego toku zdarzeń, przeciwnie napełnia je bardzo ludzkimi treściami. Pisarz wychodzi od momentu własnej sympatii dla de Gaulle'a, gdy w okresie chwilowego zesłania, tuż po exodzie paryskim, słyszy głos generała przemawiającego przez radio londyńskie. Wskrzesza dzień lipcowy 1944 roku — apogeum de Gaulle'a. Marsz od Łuku Tryumfalnego do Notre Dame. Ile możliwości! Niemal sytuacja Napoleona w 1800 roku!

I moment pierwszego rozłamu. Generał odsuwa ludzi z Resistance, z FFI i Paryskiego Komitetu Wyzwolenia. Już w Londynie i Algerze, kreśląc wytyczne przyszłej polityki, postanawia wykluczyć element znajdujący się „poza narodem" — „obcy" — to jest komunistów. Zapomina w swoich obliczeniach o historii Ruchu Oporu, o organizacji, postawie i wzrastającej popularności komunistów, heroicznej „Partii Rozstrzeliwanych". Wzrost liczebności komunistów po wojnie wydaje mu się błędem logicznym, obrazą osobistą, zagrożeniem wspólnoty narodowej. W konsekwencji niechęć wobec Partii zmusza go do łagodniejszej polityki względem mniej skompromitowanej części obozu Vichy.

Struktura intelektualna generała, ucznia Saint Cyr, wychowanka klasztoru, ukształtowana na podstawach historycznych i geograficznych, a nie ekonomicznych predystynuje go do wyboru polityki, którą poprze MRP klasyczna prawica francuska, oraz i Partia Socjalistyczna.

Tymczasem Francja upokorzona okupacją, przegryziona jadami kollaboracji, wygłodzona gospodarczo, potrzebuje całkowitego odrodzenia. Rok mija bez zmian. Generał żyje na uboczu, spokojny, i pogardliwy. Armia zaczyna się organizować w ramach z 1940 roku, nienawistna wobec nieumundurowanej armii Resistance. Rozpoczynają się sabotaże, faszyści stają się coraz zuchwalsi. Dawni kollaboracjoniści zajmują stanowiska w okupowanych Niemczech. Jedyny do tego czasu traktat z zagranicą, ZSRR, leży odłogiem na skutek niechętnej polityki reakcyjnych dyplomatów i sfer wojskowych. Rośnie ogólne rozgoryczenie.

J. R. Bloch kończy swój szkic, nie stawiając kropki nad i. Nie usiłuje odgadnąć, jak ukształtują się dalsze wypadki? (Był to maj 1946 roku). Nie próbuje być prorokiem. Ale tok jego rozważań znajduje swój konsekwentny ciąg w dalszych wypadkach politycznych. Lud francuski, któremu tak ufał Bloch, nie zawodzi pokładanych w nim nadziei.

Pisarstwo J .R. Blocha wyrasta z doświadczeń działacza i polityka, pozostaje wierne trudnemu obowiązkowi optymizmu, zachowując przy tym czujność wobec rzeczywistości.

W wielu artykułach wydanych po ostatniej wojnie przestrzega, że klęska hitleryzmu nie świadczy o załamaniu się faszyzmu. W miarę wzrostu popularności idei komunistycznej wzmagają się i ekspozytury obrońców kapitalizmu i imperializmu. Znamieniem tego jest Hiszpania Franca gdzie umieścili Niemcy w przewidywaniu swej klęski techników, kapitały i agentów. Tam schroniła się część armii niemieckiej po ucieczce z południowej Francji. Nasi przyjaciele angielscy nie dziwią się niczemu — pisze Bloch. Churchill uprawia propagandę antysowiecką, nasi przyjaciele ze Stanów Zjednoczonych nie ukrywają, że pomoc w maszynach i żywności nie zostanie nam udzielona, jeśli następne wybory nie wykażą, że staliśmy się grzeczniejsi. Jakże więc Franco nie ma się czuć umocniony? Gdyby go nie było — trzebaby go wymyślić. Potęga banków, trustów, kościoła i wielkiego odłamu dyplomacji stoi za tym, by Hiszpania pozostawała nadal bastionem konserwatyzmu społecznego, kapitalizmu, bazą wpływów klerykalnych, ekonomii liberalnej, wreszcie zapalnikiem zagrażającym republikańskiej Francji.

Sytuacja międzynarodowa jest trudna, nie lepiej jest wewnątrz Francji. Najcięższa choroba dręcząca część narodu francuskiego to brak wiary i entuzjazmu. A tego właśnie domaga się Bloch. Usunąć, dręczący społeczeństwo podział na konstruktorów i uciekinierów. (Nie wiele wiadomo w Polsce o tym, że część Francji powojennej ogarnęła psychoza emigracji, Młodzież oblegała obce konsulaty dopytując się o warunki przesiedlenia. Była to obawa przed trudnym momentem przemian, których nadejście wydawało się niewątpliwe po wyniszczającej i hańbiącej okupacji. „Wszystko stracone! Ratuj się kto może!" myślał niejeden małego ducha. Na szczęście dla Francji psychoza ta wkrótce uspokoiła się wobec poprawiających się z każdym dniem warunków życia).

Już w 36 roku Bloch wskazywał na rozłam: naród domaga się armat i samolotów dla walczącej Hiszpanii, reszta opowiada się za nieinterwencją. Przychodzi okupacja niemiecka. Jeśli wykluczyć z organizmu francuskiego kollaboracjonistów — pozostaje jeszcze podział na uczestników Ruchu Oporu i na obóz biernych. Ten sam podział po wojnie: Ci, którzy opłakują zmierzch umierających bogów opuszczają walkę, inni zwracają się ku przyszłości wierząc w żywotność narodu i efekt zbiorowego wysiłku. Bloch nawołuje do jedności lud i intelektualistów, wbrew bezprogramowej apatii i wbrew jadom filozofii beznadziejności szerzonych w pewnych kołach, odnawiających Heideggera i Kierkegaarda.

Serdeczne związki łączą Blocha z Rosją Sowiecką i jej pisarzami, szczególnie z długoletnim gościem Francji Ilją Erenburgiem. Bloch z kolei mieszkał w Związku Sowieckim od kwietnia 1941 roku do wyzwolenia Francji. Śmiertelnie zagrożony opuszcza ojczyznę po okresie wytężonej akcji konspiracyjnej w północnej Francji gdzie współpracował wraz z Pawłem Langevin, Gabrielem Pêri, Jakubem Decour.

Natychmiast po powrocie do kraju zabiera się do pracy pisarskiej, współpracuje ze wszystkimi niemal lewicowymi pismami, społeczno - literackimi. Staje się jedną z najpopularniejszych postaci w swoim kraju. Serdeczne więzy przyjaźni łączą go z wybitnymi działaczami o postęp i dobro ludu. Paweł Langevin znakomity uczony francuski, którego tak niedawno utraciła Francja (jemu to hitlerowski pułkownik Boehlenberg powiedział w chwili uwięzienia: „Jest pan dla nas człowiekiem równie niebezpiecznym, jak Encyklopedyści XVIII wieku dla ancien règime") umierał trzymając Blocha za rękę. Ostatnie jego słowa były: drogi... trzeba dobroci... dobroci i sprawiedliwości! Sprawiedliwości jeszcze nie wiele na świecie.

Takie ideały łączą Blocha z ludźmi jego pokolenia. Z gorącym żalem żegnają doczesne szczątki pisarza przyjaciele: Cassou, Marty, Aragon, Eluard, Hervé.

„„Uczciwość, bezustanna jedność myśli i działania — oto sekret jego promieniowania intelektualnego — pisze o nim Claude Morgan. J. R. Bloch, nieubłagany wobec wrogów ludu w czasach prowokacji, kompromisów i podłości intelektualnej był nam potrzebny bardziej niż zwykle".

A przecież J. R. Bloch którego działalność publicystyczną wysunęliśmy na plan pierwszy był przede wszystkim pisarzem. Głęboka świadomość zawodu podsuwa mu program zdawałoby się bardzo ograniczony:

„Mój zawód polega na nadaniu wartości słowom, poznaniu ich wagi, ciężaru gatunkowego na wypróbowaniu ich i zastosowaniu".

Może właśnie ta moralność zawodowa wciągnęła go do bezpośredniej akcji społecznej.

Julia Hartwig

PRZEGLĄD PRASY

Od dawna nie omawiałem tygodników katolickich. Po prostu wydawało mi się, że większej popularyzacji wymagają pisma głoszące zasady postępu świeckiego. Bez żartów — ilościowo prasa katolicka ma dziś nawet przewagę nad innymi pismami (mówię tu tylko o prasie literackiej): „Tygodnik Powszechny", „Dziś i Jutro", „Tygodnik Warszawski", „Odra", „Znak", pomijając już pisma mniejszego znaczenia i zasięgu. Dziwię się, że komentujący żywo wydarzenia i układ stosunków w naszym czasopiśmiennictwie p. Theates z londyńskich „Wiadomości" dotąd jeszcze publicznie nie stwierdził tej łatwej do odkrycia prawdy arytmetycznej. Wśród periodyków literackich mamy zaledwie jedno pismo tygodniowe o wyraźnie lewicowej linii, pozostałe są pismami o znacznie rozleglejszym wachlarzu współpracowników i udzielają głosu bardzo szeroko. Po drugiej stronie — niejednolity co prawda, ale zawsze przecież front prasy katolickiej. Wreszcie z boku p. Dzikowski na swojej zagrodzie. Ta wiernie jak mi się wydaje odmalowana sytuacja wcale mnie nie martwi, przeciwnie — dobrze, jeśli każdy może się wypowiedzieć swobodnie. Dlatego z zainteresowaniem czytam zawsze artykuły p. Horodyńskiego i p. Piaseckiego w „Dziś i Jutro", dlatego z szacunkiem myślę

o pracy ks. Michalskiego, którego pełne erudycji i kultury artykuły zbyt rzadko dają się widzieć na łamach „Tygodnika Powszechnego". I z pewnością gdyby prasa katolicka w kraju ograniczyła się do druku prac tych kilku wymienionych przeze mnie autorów, stosunek do niej byłby taki, jaki bywa zazwyczaj wobec przeciwnika nie używającego chwytów niedozwolonych. Ale co począć, gdy w „Dziś i Jutro" z jednej strony Dominik Horodyński pisze o konieczności utrzymania wiary w kulturę Zachodu z czym zapewne, po bliższym sprecyzowaniu co kto zalicza do tej kultury, zgodzi się każdy postępowiec laicki, zaś z drugiej strony strony p. Przetakiewicz przeprowadza perfidną gloryfikację ONR-u. Wyobrażam sobie nie bez satysfakcji zakłopotanie Dominika Horodyńskiego, gdy zaznajomił się z artykułem p. Przetakiewicza. Współpracownicy pisma ideologicznego mogą się różnić, i to nawet poważnie, w swoich gustach literackich, ale każdy przyzna, że pochwała kultury Zachodu i pochwała ONR-u to zbyt poważne przeciwieństwa.

Tak przygotowany bez większego wrażenia odczytałem w jednym z numerów „Słowa Powszechnego" wielki tytuł: „Tezy Romana Dmowskiego na sali sejmowej" i obiecywałem sobie w następnym tygodniu jeszcze silniejsze wrażenie, gdy oto w tymże tygodniu wszystkie tygodniki katolickie poświęciły swoje szpalty prawie bez reszty rocznicy św. Wojciecha. Musiałem przeczekać jeszcze tydzień i wreszcie pierwszy artykuł, jaki wydaje mi się godny zanotowania, odnalazłem na pierwszej szpalcie Nr 18 „Tygodnika Powszechnego".

„Wieś i marksizm", tak bowiem brzmi tytuł artykułu ks. Jana Piwowarskiego, jest próbą oceny sytuacji politycznej na wsi z punktu widzenia oficjalnych, jak mi się wydaje, kół kościelnych. Ks. Piwowarczyk stwierdza, że wieś polska jest w tej chwili terenem walki politycznej i terenem rozgrywki kulturalnej. „Jest to walka skrajnej (! wykrz. mój) lewicy (SL) z PSL. Autor artykułu jakgdyby rozdzielał walkę polityczną, o której wspomina, od rozgrywki kulturalnej prowadzonej głównie na terenie „Wici" i TUL. Nie wydaje się to słuszne — w istocie bowiem ferment zdrowej części młodzieży chłopskiej przeciwko koncepcjom pewnego odłamu „Wici", pozostającego niewątpliwie pod wpływami PSL jest w równej mierze polityczny co i kulturalny — te dwa pojęcia, zwłaszcza we wsi dzisiejszej trudne są do podziału.

Autor zajmuje się na wstępie oceną walnego zjazdu TUL, chwaląc jego wypowiedź na temat konieczności wychowania człowieka: „Nie jakiś kolektyw, nie klasę chłopską, ale człowieka. Było to zupełnie trafne spojrzenie na problem. Kto chce podniesienia klasy wzwyż musi to robić przez naprawę człowieka. Nie instytucji, nie warunków produkcji, ale człowieka". Cytuję umyślnie tę wypowiedź ks. Piwowarczyka, uważam ją bowiem za kluczową dla całego artykułu. Stary to i przewlekły spór, rozstrzygnięty zresztą praktyką dwu tysięcy lat, w czasie których udało się stworzyć wielką instytucję, ale nie udało się wychować człowieka. Wobec tego, że bardziej kompetentni ode mnie znawcy nieraz wypowiadali się na łamach naszego pisma na ten sam temat, wobec tego, że dwuletnia praca „Kuźnicy" służy między innymi sprawie naukowego uzasadniania, że tylko poprzez zmianę instytucji społecznych i warunków produkcji można uzyskać warunki dla wychowania człowieka, nie będę szerzej komentował wypowiedzi znanego działacza katolickiego. Chciałbym tu tylko przypomnieć, że katolicy francuscy a w ich liczbie i kler, doceniają znaczenie zmiany warunków ekonomicznych i instytucji społecznych, nie mając zapewne na celu nic innego, prócz tego co ks. Piwowarczyk nazywa wychowaniem człowieka.

Dalej, stwierdzając, że zjazd TUL nie przychylił się całkowicie do ideologii katolickiej, konkluduje ks. Piwowarczyk, że zjazd nie dał odpowiedzi na kwestie światopoglądowe: „i to nie jest jego siłą, ale słabością i będzie źródłem klęsk dla ruchu wiciowego".

Skolei przechodzi autor do omówienia ideologii lewicy wiejskiej, atakując głównie książkę J. A. Króla „Drogowskazy". Król, który walczy o wyrwanie wsi z marazmu kulturalnego i stwierdza, że tzw. kultura ludowa jest wypadkową dotychczasowych ekonomicznych procesów, którym ulegała wieś polska, stawia postulat prosty i zrozumiały dziś dla każdego: wprowadzić na wieś technikę, co w konsekwencji zmieni treść dotychczasowego partykularza kulturalnego wsi. Postulat Króla wymagał szerokiego wyjaśnienia: Król dał je w swojej obszernej pracy „Drogowskazy". Mamy tam polemikę ze zwolennikami chłopskiego personalizmu z hasłami technicznego zacofania z ideologią agraryzmu. Ks. Piwowarczyk określa tę polemikę jako marksizm, co zapewne zdziwi najbardziej samego Króla. Jesteśmy zapewne jedynym krajem w Europie, gdzie propozycja zamiany strzechy na dachówkę zostaje uznana za wypowiedź marksistowską.

Reasumując: ks. Piwowarczyk dochodzi do wniosku, że brak wyraźnej ideologii „Wici" ułatwia działanie jej przeciwnikom (zapewne skrajnej lewicy — SL). Drugi wniosek zachęca katolickie stowarzyszenia młodzieżowe do podjęcia pracy na wsi. Czy jednak młodzież wiejska która dziś już rozumie niezbędną kolejność zmian — od reformy instytucji społecznych do wychowania człowieka — zechce przyjąć program odwrotny?

ph.

Noty

Krótko i węzłowato

W sprawie t. zw. pomocy amerykańskiej dla Grecji i Turcji wyczerpano już morze atramentu i farby drukarskiej, wypowiedziano bezlik słów takich i owakich. Komentowano i wyjaśniano, chwalono i ganiono, potwierdzano i zaprzeczano. Niepotrzebnie.

Jeden z czołowych publicystów „ wielkiej" prasy amerykańskiej — Walter Lippmann ujął problem w następującą jasną i lapidarną formułę:

„Wybraliśmy Grecję i Turcję nie dlatego, że są one w większej niż inne kraje potrzebie, i wymagają pomocy, ani nie dlatego, że są one jaśniejącym wzorem demokracji i czterech wolności. Wybraliśmy te kraje dlatego, że są one strategiczną bramą na morze Czarne i do serca Związku Radzieckiego" („New York Herald Trybune" z dn. 1 kwietnia 1947 r.)

Wystarczy? Wystarczy.

bd.

Londyńska wiosna

W jednym z dzienników stołecznych ukazała się interesująca korespondencja z Londynu, w której znaleźliśmy taki passus:

„Obrazek tradycyjnej wiosny londyńskiej nie byłby kompletny, gdyby nie dodać do niego rzędów prywatnych limuzyn, które w każdą niedzielę w południe ustawiają się naokoło jeziorka w Hyde Parku i stoją tak godzinami ze szczelnie zamkniętymi szybami, przez które dojrzeć można ich właścicieli, siedzących **bez ruchu i przeważnie bez słowa** (podkr. bd.) Zdziwionemu cudzoziemcowi, który zapyta, co robią ci ludzie w zamkniętych hermetycznie pudłach, wyjaśniają, że przecież przyjechali oni jak zwykle do Hyde Parku, ażeby „odetchnąć świeżym powietrzem". Dlaczego zaś szukają tego „powietrza" poza zamkniętymi szybami, lepiej się nie pytać. Jest to jedna z niezgłębionych tajemnic „tradycji angielskiej"...

Wydaje mi się, że zgłębienie tej tajemnicy nie nastręcza specjalnych trudności. „Tradycja angielska" jest — jak wiadomo — bardzo czuła na punkcie „obrazy moralności publicznej". Gdyby „oddychanie świeżym powietrzem" odbywało się przy otwartych szybach limuzyn, policemani mieliby z pewnością niejeden powód do interwencji. Skoro jednak szyby są szczelnie zamknięte, wszystko jest w porządku i nikomu nic do tego, co się poza nimi dzieje.

Ach! — ci Anglicy!... Tylko jak to oni tak potrafią — „bez ruchu?..."

bd.

Ciężki los

Amerykański korespondent „Odrodzenia" — Jan M. Nowak usiłował niedawno przekonać polskich czytelników, że antymurzyński rasizm w U. S. A. nie wygląda bynajmniej tak groźnie, jak się przedstawia niekiedy zagranicą, że — jeśli nawet zdarzają się czasem wypadki terroru i samosądów — mają one charakter wyjątkowy i nie można naliczyć ich więcej, niż 2 lub 3 rocznie.

Szkoda, że pan Jan M. Nowak nie sięgnął w tej materii do oficjalnego wydawnictwa amerykańskiego „Monthy Digest of People Stabistic", będącego organem Centralnego Urzędu Statystycznego (Central Statistal Office). W prasie polskiej znaleźliśmy ostatnio pewne dane, zaczerpnięte z tego miarodajnego źródła. Wynika z nich np. że w ciągu 10 miesięcy 1946 r. (styczeń — październik), w jednym tylko południowym stanie Alabama, gdzie ludność murzyńska stanowi główny kontyngent roboczy, ofiarą terroru ze strony białych padło — 437 zabitych Murzynów i Mulatów, przy czym w 429 wypadkach nie nastąpiła żadna reakcja powołanych władz administracyjnych i rządowych. Rannych murzynów i mieszańców było w tym czasie — 781, pobitych — 2043.

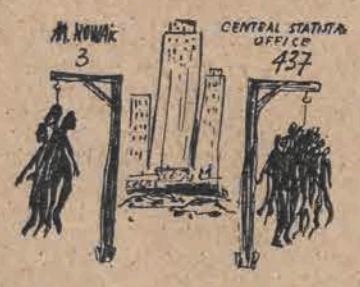

Jakże daleko i wymownie odbiegają powyższe cyfry od idyllicznych relacyj p. J. M. Nowaka...

bd

Odi profanum vulgus...

W imponującym pochodzie pierwszomajowym, który przeciągnął ulicami Warszawy, widziało się transparenty rozmaitej treści.

Jedne głosiły hasła polityczne, inne wykazywały wzrost produkcji i wydajności pracy na poszczególnych odcinkach gospodarki narodowej, inne wreszcie ośmieszały reakcjonistów rodzimych i zagranicznych. Wszystkie transparenty zawierały sformułowania jasne, zrozumiałe dla każdego przechodnia. Jeden tylko transparent, co prawda niewielki, ale tajemniczy, wyróżniał się w tym masowym pochodzie. Zawierał lapidarną formułę, wymagającą odcyfrowania.

Jak łatwo się domyślić, transparent ten należał do sfer artystycznych, albo też do urzędów poświęconych sprawom sztuki. Formuła głosiła:

SZTUKA JEST FUNKCJĄ PRACY.

Brzmiało to pięknie. Łączyło w sobie należycie dobrane słowa: szlachetne słowo „sztuka", ulubione przez teoretyków sztuki, naukowo brzmiące słowo „funkcja", no i wreszcie odpowiednie do pochodu robotniczego słowo „praca". Zestawienie tych trzech słów chlubnie wyrażało chęć zbliżenia sztuki do mas ludowych, a równocześnie gwarantowało tak cenioną w naszych sferach kulturalnych kompletną niezrozumiałość myśli. Formuła osiągnęła zamierzony efekt. Dziwiła zebrane na ulicach tłumy i nikt nie potrafił jej odcyfrować. Zresztą nikt się nie głowił. Zwykli ludzie przyzwyczaili się do tego, że sztuka jest tajemniczą dziedziną, która nie powinna ich obchodzić. A więc...

Sztuka jest funkcją pracy.

Napewno w tej formule mieści się jakaś myśl głęboka i słuszna, ale zanim znajdzie się tęgi umysł, który ją odcyfruje, trzeba powiedzieć bez ogródek, że wynoszenie takich formuł na ulicę jest funkcją pogardy dla tłumu.

rkm.

Ujawnili się

W toku obrad komisji sejmowej nad budżetem Min. Bezpieczeństwa, omawiano szeroko m. in. sprawę walki z bandytami faszystowskimi na południowo-wschodnich terenach Polski. Przedstawiciel Min. Bezpieczeństwa podkreślił w dyskusji, że ostateczną likwidację band utrudnia w dużym stopniu „liberalizm" niektórych starostów urzędujących w woj. rzeszowskim.

„Liberalizm" użyty tu został, oczywiście, jako termin eufemistyczny, w rzeczywistości bowiem za tym słowem kryje się niedołęstwo i brak energii, a nawet — coś więcej jeszcze. Bo — jak oświadczył dalej tenże przedstawiciel Min. Bezpieczeństwa — podczas akcji amnestyjnej, w jednym z miasteczek woj. rzeszowskiego ujawnili się przed władzami Bezpieczeństwa Publicznego, jako członkowie nielegalnych organizacyj... **starosta, wicestarosta i kilku niższych funkcjonariuszów starostwa. (!)**

Niezwykła zaiste historia. Przypomina ona opowiadania kryminalne, których przestępcy grają rolę detektywów, dopomagając w ten sposób nader skutecznie swoim wspólnikom. Tylko, że w rzeczywistości nieksiążkowej, za taką maskaradę płacą krwią i życiem nie znający jej sekretów ludzie.

Nie potrzebujemy chyba dodawać, że ci ujawniający się przed władzami bezpieczeństwa starostowie — to przykre pozostałości personalne z tych czasów, gdy ster rządów w Min. Administracji Publicznej dzierżył p. dr. Kiernik, jeden z głównych filarów PSL-u.

bd.

OŚWIADCZENIE ZARZĄDU GŁÓWNEGO Z. Z. L. P.

W Nr 111 „Gazety Ludowej" z dnia 24.4. 1947 r. w kolumnie literackiej, redagowanej przez członka Z.Z.L.P. St. Dzikowskiego ukazała się niepodpisana notatka, w której zawarte są aluzje na temat niewłaściwego zachowania się w czasie okupacji członka Z.Z.L.P. Janusza Minkiewicza i w której zawarte są również w związku z tym zarzuty pod adresem Zarządu Głównego Zw. Zaw. Literatów Polskich, który jakoby sprawę Minkiewicza przemilcza.

Zarząd Główny oświadcza, że członek Związku Janusz Minkiewicz został w roku 1945 przez Tymczasowy Zarząd Z.Z.L.P. zweryfikowany.

Wobec zarzutów pod adresem Zarządu Głównego zawartych w notatce umieszczonej w kolumnie literackiej redagowanej przez członka Z.Z.L.P. St. Dzikowskiego, Zarząd Główny postanowił skierować sprawę tych zarzutów do Sądu Koleżeńskiego.

Warszawa, dn. 7 maja 1947 r.

Prezydium
Zarządu Głównego Z.Z.L.P.

Redaguje: Zespół „Kuźnicy". Wydawca: Zespół „Kuźnicy".
REDAKTOR NACZELNY: STEFAN ŻÓŁKIEWSKI.
Redaktor naczelny przyjmuje we wtorki, czwartki i soboty od godziny 11 do 13.
Adres Redakcji i Administracji: ul Piotrkowska Nr 96. — Telefon 205-42.
CENA OGŁOSZEŃ:
Za 1 mm na 1 szpaltę 40 zł.
D-015581 Drukarnia Nr 4 Sp. Wyd „Czytelnik" — Łódź, Żwirki 2.